



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Józef Ignacy Kraszewski (dalszy ciąg). — Co ja lubię. — Krakowiaczek (wiersze). — Flaminia (dalszy ciąg). — Na wyspie (dalszy ciąg). — Listy z Madrytu. W dodatku: Szalone ożnienie przez M. A. Fleming przekład z Angielskiego, przez J. B. (dalszy ciąg).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

w literaturze i społeczności naszej.

(Dalszy ciąg).

W Wilnie był to jeszcze sam projekt w zarodku; najprzód panował Kraszewski nad sobą samym; jak się odbywał ten proces rozwoju pisarskiego wystawił w Szarskim. Ten wyszedłszy zaledwo z uniwersytetu, już tak samo jak nasz autor, pisał wiersze, powieści, układał dramata, brał się nawet do pisania dziejów. Duch Szarskiego tak był poetycznym, twórczym w obrazy, że „zimny i zaschły kronikarz wywoływał przed nim całą epokę; z ponizanych jak paciorki na sznurku faktów z martwych kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy żywota pełne. A gdy po długim czytaniu głos podniósł o treści książki, nie poznać jej było w zmianie, jakiej przechodząc przez duszę jego uległa. Stara to i wielka prawda, że każdy w miarę siebie wyczyta na książki karcie: dla jednego, jest ona obrazem barw i światłości pełnym, dla innych pomieszanych gruzów stosem. Stanisław czytając tworzył.“ Tak się utworzyły u Kraszewskiego Ostatnie lata Zygmunta III, kościół Ś-to Michalski, Księgarniczka Słucka, Halszka i t. p. Jakież wrażenie robił w mieście ten znakomity młodzieniec, jak patrzono nań w towarzystwach? „Reszta gości z podziwieniem jakimś i wstętem oglądała tego intruza (na weselu Bazylewicza), którego zawsze miała za dziwadło, a znalazła bardzo pospolitym człowiekiem, nie objawiającym żadnej pretensyi, nie nadstawiającym się żadnem dziwactwem i przybraną ekscentrycznością.“ Gdy powrócił do domu, na wieść, było jeszcze gorzej: „Nikt nie zażądał go

w sąsiedztwie, nikt ręki mu nie podał, a przybycie znanego już trochę po świecie pisarza, nie obudziwszy nawet ciekawości, napędziło tylko strachu. Każdemu się zdawało, że ten jastrząb porwie go i przybije do jakiejś karty jak do pręgierza, uciekano od niego w kościele, spoglądając czy nie goni w miejscach publicznych, w miasteczku, widział chodzące za sobą oczy, ale w nich strach tylko i wstętem łatwo było odgadnąć. Zresztą stare pojęcia o literatach, literaturze i życiu poetów, odstręczyły także od człowieka, który wśród żywej i czynnej społeczności wydawał się czemś wyjątkowem ledwie nie pół szaleńcem.“ Któż z piszących nie doświadczył tego, kiedyś na sobie samym? Na prowincyi piszący był istotą tak dziwną jak pleziosaurus, albo megalotherium! Słyszano tylko o tem, że po stolicach są tacy ludzie co książki całe piszą. Zresztą samo pojęcie o takich ludziach bardzo było mętne u wiejskiej szlachty: wyraził: człowiek rozumny, uczony, mędrzec, człowiek co pisze wiersze, a nawet ten co po francuzku *goda*, było to prawie synonimy. Filozofem znowu zwał się człowiek, który się nigdy nie umywał, rzadko golił, chodził oberwany i w pana Boga nie wierzył. Trudno zapewne temu uwierzyć, żeby po czasach Brodzińskiego, Aleks. Fredry, Bohdana, Mickiewicza, Malczewskiego, Lelewela i tylu innych mężach, kraj nasz był jeszcze po wsiach, tak dzikim krajem; ale tak było istotnie i obrazy *Powieści bez tytułu* są rzetelnymi obrazami rzeczywistości. Jeżeli tak dziś nie jest jemu to winni jesteśmy. W owe czasy wprawdzie płakano, po kątach nad oblężeniem Roszelli pani de Genlis, nad losami Matyldy i Malek-Adela pani Cottin, ale na literatów patrzano, ma się rozumieć na dalekim partykularzu, jak wilk na gwiazdę. Nielepij tłum rozumiał ich i po miastach, tłum, który w *Powieści bez tytułu* został upostaciowany, choćby rodzinie państwa Ciemięgów.

O swoim Szarskim powiada autor: „Co krok to

nędza zapierała mu drogę. Budzi ona duszę do energii i boju, wywołując w niej siły nowe, ale ileż razy zabija! Księgi, ludzie, wzory, towarzystwo, wszystko ubogiemu, spętanemu niedostatkiem staje się nieodstępne. Książki bibliotek publicznych najczęściej tym służą, coby je kupić sobie mogli, i tu ubogi ostatni do nich dostąpić może. Ludzie, których wykształcenie i stanowisko silniej żywem słowem działać może od książki, dla ubogich stoją za wysoko; wzorów ani dostać, ani ich widzieć niepodobna; do towarzystw trudno być przypuszczonym na stopie równości, bo tu umysł jest najostatejszą zaletą, a *ogół* tak się lęka ludzi ekscentrycznych, tak im nie ufa, tak ich zimną grzecznością odpycha! Nikt też nie podtrzymywał Szarskiego, słowem współczucia nie popchnął go, nie dźwignął; trzeba mu było z samego siebie dobywać siły; a jedna tylko biedna Sara (żydówka-aktorka) sercem całem słuchała jego poezji, które dla niej wszystkie były arcydziełami. Staś uśmiechał się na ten sąd boleśnie, nie tego mu było potrzeba.“ Dalej mówi tak: „wspomnieliśmy o geniuszu: słówko o nim jeszcze, choć może nie w miejscu. Pojęcie geniuszu rozbiło się o jego definicye nic nie nauczające. Ogół fałszywie, po większej części szuka i upatruje tego daru bożego; geniuszem dla tłumu bywa najczęściej ekscentryczność i przesada. Ale też to, co w pierwszej chwili okrzykują za geniusz, zwykle nie uzyskuje aprobaty tytułu do potomności; częściej przyszłość, mianuje na tę godność to, co się współczesnym śmiesznem, dzikiem, lub prostotą swoją poziomem wydaje. Cechą geniuszu jest odgadnięcie kierunku przyszłości, a że społeczność najczęściej mimowoli i przeciwko sobie ku niej idzie, to co jej najprzeciwiejszem, najniepojętszem się zdaje, może być i bywa, piętnem prawie zawsze nieprzyznanego geniuszu. W wiekach też przejścia jak nasz, gdy wszystko leży na pojęciach nie na uczuciu, z fałszywych definicyj rodzą się fałszywe, kłamliwe wyo-

brażenia i ich zastosowania; lada przesadzony, sztucznie wydęty talencik obwołują zaraz za geniusz, gdy to, co proste, naturalne, nie wyrobione na efekt, spada na najniższe stopnie. Tymczasem jedną z cech nieśmiertelnych geniuszu, jest właśnie prostota pozorna w wykonaniu, prostota idei i formy, przy prawdziwej wdzięku obojga. Zrazu wygląda to często na coś bardzo pospolitego, zwyczajnego; dopiero gdy ludzie rozpatrzą i spróbują, że tej prostocie drugim sprostac niepodobna, że wymałowac jej nie można, powoli domyślac się zaczynają, że geniusz tylko mógł ją stworzyć.

„I to jest fałszem w pojęciu geniuszu, że mu każą być wyłącznie samą siłą, samą potęgą, samą wielkością w znaczeniu najpospolitszym wyrazów. Geniusz może się objawiać zarówno wdziękiem, urokiem, uśmiechem, tęsknicą, nie ma bowiem koniecznej formy, w którąby się wlać był obowiązany. Geniuszem jest Molière, Shakespeare, Cervantes i Dante. Na stworzenie Mizantropa i wielu charakterów, typów Moliera tyle potrzeba było geniuszu, co na wyśpiewanie epepej. „Jak większa część ludzi udarowanych jasnowidzeniem od Boga, Stanisław (Szarski) nie tylko nie miał się za geniusz, ale w nim zwątpienie brało ciągle górę nad wiarą w siebie. Mierzac się ze współzawodnikami, znajdował się zawsze niższym od drugich i o pierwszeństwo nie myślał się ubiegać, a nie dopominając się stanowiska nie mógł go posiąść, bo u współczesnych ten zyskuje najwięcej, kto najwięcej się upomina.“

Teraz potrzeba wypisać to co powiedział nasz autor o chlebie powszednim. „Bóg tylko wie jeden, jak mu chleb powszedni ciężko i krwawo przychodził. Nie ma towaru, coby się trudniej od myśli sprzedawał, nie ma pracownika, coby gorzej wychodził na dziele swjej ręki. Ci co jego robotą handluja, budują fortuny; on zawsze spragniony i głodny. Pisma Stanisława, dzięki oryginalności, świeżości, dzięki może okolicznościom przyjaźnym i krytyce, co je prześladowała, sprzedawały się prędko i dobrze; nabywali je bibliopole dosyć ochoczo, ale z każdym rękopismem odegrywali komedya, żeby go jak najtaniej wytargować z rąk autora. Żaden z nich nie miał tyle sumienia, żeby otwarcie wartość istotną zapłacić; handlowali tem jak inni skórkami zajęczemi. Najrozumiejsi łapali go pochlebstwem, przyjaźnią, drobną przysługą, uśmiechem dobrodusznym; bezwstydniesi prosto wypatrywali chwili dogodnej, targowali się o każdy grosz, a zbywali w końcu bibułowem rachunkiem. Zarabiał wydawca, bogacił się sprzedający częściowo, mający 50 pr. ustępstwa, to jest więcej daleko niżli sam autor zysku, a pisarz, wedle odwiecznego prawa, marł z głodu, pracując sił ostatkiem na drugich. Ciężko było z tego grosza wyżyć choć jednemu człowiekowi, ale Stanisław nie potrzebował wiele i wystarczało mu to co miał.“

Teraz wystąpi stosunek Szarskiego do czytających. „Życie autorskie szło dalej koleją, jaką je charakter pisarza i pierwsze jego kroki powiodły. Było ono mieszaniną drobnych pociech, a utrapień wielkich, bo świat mniej ma czasu na współczucie, a gorąco się zaprzęta swym gniewem i niechęcią. Stanisław jako pisarz obrazów z życia towarzyskiego branych, jako malujący nieustannie typy otaczającej go społeczności, wystawiony był na najdziwniejsze napaści, podejrzenia i zaczepki. Nie umiano sobie wystawić pisarza, któryby nie korzystał z typów spotykanych po świecie, nie chciano wierzyć w jego obojętność lub sumienie; szukano wszędzie, koniecznie odtworzenia osobistości znanych, wzorów żywych, to zemsty, to niechęci, to zazdrości, to jakiegos podłego uczucia. Podejrzenia te rodziły

sceny najosobliwsze. Dopominano się u niego o wszystkie wady jakie wytykał ludziom, każda z nich miała adwokata, każdy stan odzywał się za sobą. Ci nie pozwalali nawet wspominać duchowieństwa, inni zastawiali się za szlachtę, drudzy gniewali się za panów, a innym jeszcze zdawało się, że zamało okazywał sympatyj dla klas upośledzonych od losu. W ostatku, każdy charakter i typ, nawet powierzchowny opis osób, wywoływał krzyki: to ja! to mój sąsiad! a to ten, a to drugi!“

Są to prześliczne, pełne życia i prawdy ustępy z własnej autobiografii Kraszewskiego, których nie w przyszłym jego życiorisie zastąpić nie potrafi. Nie wątpię o tem, że czytelnicy moi przyjmą je wdzięcznem sercem.

Na waletę warto jest wypisać zabawną pretensyą do Szarskiego mianą, rodziny pp. Ciemięgow.

„W ostatniem z pism swoich odmalował on dom, który, nie wiem komu podejrziwemu podobalo się uznać za odbicie familii Ciemięgow. Że Szarski nie myślał o tem to pewna; ale dosć jest rzucić na wiatr tego rodzaju podejrzenie, żeby obudzić posądzenia i gniewy. Usłużny jakiś przyjaciel szepnął o tem samej pani. Posłano żywo po książkę, po częto ją czytać. Sam pan protestował, Emilka serdecznie się śmiała; ale mama wzięła to do serca, druga siostra uwierzyła także, i jak zaczęli każde słowo rozłomaczać, przekonali się, iż w istocie zostali *ad vivum* odmalowani. Nie było najmniejszego podobieństwa między rodziną zacną choć śmieszniejszą państwa Ciemięgow; ale liczba córek była równa, a na nieszczęście znalazły się w opisie i na stoliku filiżanki niebieskie... więcej nie było potrzeba! Matka zaklęła się, że za pierwszą bytnością Szarskiego srodze mu da uczuć swoją krzywdę. Nic o tem nie wiedziała niewinna ofiara, i po kilku tygodniach, wedle zwyczaju wszedł Szarski do domu państwa Ciemięgow z czystem i spokojnem sumieniem. Zdziwił się spostrzegając po twarzach czerwonych, po minie gospodarza, po zafrasowaniu Emilki, że trafił jakoś nie pod humor. Matka żywo nadeszła, a że w niczem się tać nie umiała, odrazu nań wpadła. Już nie wiem, zawołała poprostu z mostu, jakim pan czołem tu przyszedłeś? Tak! tak! strój pan minę świętoszka! Ślicznie to, w ucziwy dom wszedłszy, będąc przyjmowanym od serca, uczynić go pośmiewiskiem! I masz pan czoło jeszcze po tem do nas przychodzić! Szarski zerwał się jak oparzony. Cóżem ja winien, na Boga! co to jest! Nic nie rozumiem! A tak! udaje że nic nie wie, a w *Czapugrachu* (był to nieszczęsny tytuł ostatniej książeczyny) to nie my może figurujemy? nie my? A córki? A niebieskie filiżanki? a okrągły stolik? Wszyscy poznali! Nie myśl pan, że nas oszukać można!... kwita z przyjaźnią!“

Intrygi miasteczkowe potrafiły dokonać tego, że profesor Hipolit i dr. Brant poznali się w figurach nowiej powieści, najpierwsi przyjaciele Szarskiego. Posypały się na niego plotki. Jedni mówili, że się upija, inni, że wiedzie życie zamknięte, aby pokryć jego szkarady; przypisywano mu najobrzydliwsze romanse, najdziwniejsze gesta i charakter całkiem ekscentryczny; komponowano anegdoty z niczego, bawiono się kosztem nieszczęśliwego z obojętnością, z jaką dzieci, złapawszy czasem chrząszcza, na śpilce go obracają dla rozrywki. Liczba znaczna pism, które wydawał, dozwalała przypuszczać, że kogoś okrada, drugim, że czasami trzy na raz rzuca dyktuje, lub niepoprawny i ledwie na papier rzucony rękopism, bez zastanowienia do druku posyła. Nie wiedziano ile ta pozorna łatwość kosztowała pracy, namysłów, ile nocy bezsennych, ile wycieńczenia i potu, ile życia świeciło się na martwy ów papier, do zimnych ludzi, mający mówić o ży-

ciu. Nie wiedziano, że każda z tych książek zabierała z myślą część ducha, część siły, część istoty samej człowieka nieodzyskiwaną nigdy; że pisarz krajał się po kawałku, karmiąc sobą.“

St. Szarski okazał się ulubioną postacią autora Powieści bez tytułu; był on nawet dla niego parcyalnym, bo kiedy swoim własnym płodom młodości odmówił wartości, dziełom Szarskiego przyznał cechę genialności.

Kolegą po uniwersytecie i po piórze był Kraszewskiemu Józef Krzczkowski, podolanin, wydawca *Żnacza* i *Biruty*; pierwszą drukowaną pracą Kraszewskiego był artykuł w *Noworoczniku litewskim* Hipolita Klimaszewskiego; potem drukował już w *Żnacu* (1833 — 34) i *Birucie*, (1835 r.) rocznikach Krzczkowskiego, człowieka przedsiębiorczego, którego dla zebrania prenumeraty na swoje almanachy i artykułów do nich zjeżdżał nawet na kontrakty do Kijowa. Tu zdobył on do *Biruty* od Józefa Korzeniowskiego ustęp z dramatu; *Wróżba i Zemsta*. Kiedy już mówimy o pracach Kraszewskiego w noworocznikach wileńskich nie należy zapomnieć artykułu jego w *Bojanie*, piśmie zbiorowem Adama Piętkiewicza (1837) o tem: *Jak dyabeł kusił pustelnika na puszczy*, historyi opowiedzianej usty Mikołaja Reja z Nagłowic, językiem XVI wieku i wydrukowanej nawet *gockim* drukiem.

Powiedzieliśmy przedtem, że Kraszewski, zrozumiał wcześniej tę prawdę, że tylko praca wytrwała potrafi wyrobić znakomitego pisarza i że wziął się do niej wcześniej, szperając po starych księgach, po archiwach i studiując gorliwie twory wielkich pisarzy wieku naszego, w literaturach zagranicznych. Znał on języki francuzki, niemiecki, angielski i włoski, oprócz łaciny, w której czytał utwory naszych kronikarzy. Wadą może kierunku Kraszewskiego było to, że nie rozumiał odrazu swego powołania; chciał być polyhistorem, pisać o wszystkim; ale tak jak miał on się stać u nas nauczycielem naszego ogółu, ta wielostronność początkowa naszego autora nie była wcale bez korzyści dla czytającej publiki. Łatwo to jest powiedzieć: potrzeba wziąć się do pracy, ale niezawsze łatwo jest pracować. Sam Kr. mówiąc o Szarskim wyznał to jak trudno jest u nas o książki, jak niełatwym jest dostęp dla każdego do biblioteki. Książki poważne są u nas rzadkie, niełatwo było wcale dostać je. Podówczas literatura nasza nie miała wcale rzeczy poważnych w rzeczy Estetyk na przykład; pisma Euzebiusza Słowackiego należały do starej szkoły, a dopiero początek nowego kierunku, po przedmowie Mickiewicza do krytyków i recenzentów warszawskich, dał był świeżo (1830) Maurycy Mochnacki w dziele „*O poezji polskiej w XIX wieku*“. Nowości francuzkie naukowe treści księgarze nasi sprowadzali za ledwo w dwóch lub trzech egzemplarzach. Kto chciał mieć książki poważne musiał je wypisywać za swój miły grosz. Najpoczytniejszem ówczesnem pismem zbiorowem francuzkiem było wtedy: „*Le livre decet etien*“ to też ono posłużyło było najsamprzód Kraszewskiemu za wzór do jego prac pierwotnych. Następnie mogły mu służyć za wzór trzy dzienniki francuzkie: *La revue de Paris*, *La revue des deux mondes* i *la revue germanique* do tych można jeszcze dołączyć *la revue britannique*. Tu się skupiał głównie ruch postępowych idei naszego wieku; tu też mógł każdy zaczerpnąć cośkolwiek z oświaty europejskiej, jeżeli chciał iść z biegiem wyobrażeń swojego czasu. Profesor Szydlowski, na wzór tych przeglądów, począł był wydawać w Wilnie pismo p. t. *Wizerunki i Roztrząsania naukowe*; posługiwano się tu po większej części tłumaczeniami.

W Petersburgu Józef Sękowski wydawał Bałamut, pismo humorystyczne, a Józef Przecławski Tygodnik Petersburski, gazetę polityczną i literacką. Bałamut trwał niedługo, bo trudno jest mieć zawsze potrzebny zapas dowcipu, a Tygodnik więcej był gazetą polityczną, niż literacką dla braku kół współpracowników miejscowych, tem bardziej że sam wydawca był dość leniwym pracownikiem. Sztukowano się w nim tłumaczeniami z francuskiego, umieszczano co Bóg dał. Od roku 1833 znać było chęć odświeżenia tego pisma. Aleks. Tyszyński wydrukował tu artykuł: „Dwaj ostatni krytycy w Polsce“ a w r. 1834 Grabowski umieścił artykuł o literaturze narodowej, ale były to starania luźne niezwiązane niczem; osobliwie brakło tu pewnej zasady.

Wydawca naprzykład ganił charakter nowej szkoły francuskiej, a umieszczał w Tygodniku przekłady z romansu Wiktora Hugo: Notre dame de Paris i t. p. Brakło tu krytyki, jakkolwiek sam wydawca odzywał się czasami dość dobrze, acz w krótkości, o nowo wychodzących dziełach. Pomagał mu czasami w tem T. B. (Teofil Bukar), a dla rozmaitości tłumaczono tu z angielskiego sprawozdania literackie z Montly magazine: Najwięcej był tu opracowanym oddział Rozmaitości. Przecławski drukował tu jeszcze wyjątki ze swoich: Pamiętników rozumowanych, a czasami i poezyjki własnego pióra, pod pseudonimem Microsa. Dla lepszego zamaskowania się, wydawca, w przypisku, zapraszał i zachęcał młodego poetę do występowania dalszego w jego piśmie. Oprócz Bukara, pisywali do Tygodnika recenzje J. S. (Jan Sowiński) i R. W. Trudno powiedzieć, który z tych trzech był lepszym, albo uczęszszym, bo artykuły tych panów zarówno były słabe i kuse, tyle tylko, że p. T. B. odznaczał się, nieraz, osobliwą przesadą stylu i to nie z początku swojego zawodu, jak to bywa zwyczajnie z młodymi, ale i pod koniec jego, bo nawet 1838 roku, kiedy działalność jego ustała w Tygodniku. Tak stała krytyka literacka po 1830 roku. Zdanie tylko samego wydawcy było trafne, ale artykuły jego pojawiały się zwykle raz na rok. Postępu w tem piśmie nie było żadnego, wszystko szło ospale, po staremu, jak mówiono u nas. Wystąpienie Tyszyńskiego i M. Grabowskiego nie obudziło życia, pismo petersburskie pozostało nadal bezwarwnem i apatycznym jak i przedtem. Cześć obudzenia życia w Tygodniku należy się Kraszewskiemu, tak samo jak obudzenie jego w całym naszym piśmiennictwie. Dokazał on tego niestrudzoną pracą i ochotą do pisania, zdawało się jakby do pióra na świat się narodził. Kraszewski 1835 roku opuścił Wilno, przeniósł się na wieś, do domu rodziców, ale tu nie wiele mógł znaleźć dla siebie zachęty do literackiego zawodu.

Potrzeba pracy dla chleba skierowała go do gospodarstwa na roli, zmusiła do wzięcia dzierżawy małej, z której mógłby się wyżywić i jako tako się utrzymać. Był to wtedy, i dziś jeszcze poniekąd, jedyny środek utrzymania się dla młodego szlachcica, w naszych prowincjach. W ten sposób Kraszewski stał się gospodarzem, dzierżawcą wsi Dołhe na Wołyniu (1835). Można sobie wyobrazić jak podobne zajęcia niewiele musiało mieć powabu dla pisarza z powołania. To też kiedy w r. 1836 został ogłoszony konkurs na lektora języka polskiego, w uniwersytecie Ś-go Włodzimierza (w Kijowie), Kraszewski, który już w uniwersytecie zbierał materiały do historii mowy polskiej, napisał i podał do rady uniwersyteckiej, rozprawę p. t. *Rys dziejów języka polskiego*, (wydrukowaną potem w Warszawie 1843 roku w Nowych Studiach literackich). Rozprawa Kraszewskiego została uwien-

czoną, ale jej autor, dla pewnych okoliczności, nie mógł objąć katedry w Kijowie. Pod względem materialnym niewiele stracił na tem nasz autor: pensya lektora zaledwo przechodziła 500 rs. (2,000 rb. asygnacyjnych). O posadę tę współubięgał się z Krasz. Kustosz numizmatycznego gabinetu uniwersytetu Kij. Bahrynowski, Krzemieńczanin. Miał on nawet swoją własną pisownię, dość dziwną (np. zamiast ch pisał x), ale sama rozprawa jego, którą miałem w rękopisie, niewiele była warta i nie pozyskała sobie względów rady akademickiej, choć była napisana tą nową pisownią. Miejsce lektora *per interim* zajmował przez jakiś czas Mikulski, potem Józef Korzeniowski, adjunkt przy katedrze literatury rzymskiej, głośny później w literaturze naszej dramaturg i romansopisarz, do 1838 roku. Następnie katedra tego języka była zniesioną. Gdyby Kraszewski objął był katedrę, spotkałoby się tu dwóch naszych romansopisarzy. W 1838 roku mieszkał tu hr. Aleks. Przedziecki, hr. Henryk Rzewuski, X. Ignacy Chołowiński, hr. Juliusz Sratyński, profesorowie Daniłowicz i Jakubowicz. Rzeczą byłoby ciekawą jaki wpływ wywarłoby to koło na talent Kraszewskiego. Inaczej chciałoby się przecenienie i może stało się to z korzyścią dla literatury naszej: Kraszewski rozwinąłby samodzielnie swój talent, a lekcje w uniwersytecie i towarzystwo ujmowałyby tylko sporo czasu naszemu autorowi. Pozostawało więc mu i nadal pilnować roli Ale zawsze więcej go pono zajmowała siejba umysłowa niż wzrost zboża na własnym zagonie. Począwszy na wsi zaczął zaraz pisywać do Tygodnika Petersburskiego, który stał się jakby jego własnym piśmie. Rozpoczęło się odrazu nowe życie umysłowe; przykład Kraszewskiego obudził emulacją żywą występowali zewsząd nowi pracownicy.

(d. c. n.)

Co ja lubię.

Lubię ptaszek śpiewanie,
Gdy śpiewają w przedświcie,
Lubię wiosny zaranie,
Kwiaty lubię nad życie,

Lubię patrzeć w niebiosy,
Lubię dumać bez końca:
Patrzeć lubię jak rosa,
Promienieje do słońca.

Lubię światło księżycy,
W letniej nocy pogodnej,
Gdy odbija swe lica
W zwierciadlany toń wodny.

Lubię wreszcie i burze,
Ich błysk i grom ponury,
Błysk w ciemnej odbity chmurze,
Grom echa gdy dają góry,

KRAKOWIACZEK.

Ludzie sobie narzekają
Że bieda na świecie,
Szczęścia daleko szukają,
Ono w sercu przecie.

U mnie jednak z szczęściem serce
Dawno uleciało,

Gdzie tliło uczucie w iskerce,
Wspomnienie zostało.

Zostało wspomnienie
Jak gwiazdeczki jasne,
Ale życia cienie
Gaszą mary krasne.

Życie jak macocha
Dla marzącej duszy,
Poezyi ni trocha
O chleb głowę suszy,

Gdyby dusza miała
Skrzydółkę ptaszyny,
Wnetby uleciała
Z tej płaczu doliny.

Latałyby sobie
Po chmurkach, po niebie,
Spoczęła na grobie,
Gdzie schowali „ciebie!
Zochna z nad Bucza,

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXII.

W tym samym prawie czasie, gdy do marmurowych brzegów Wenecyi jego królewska mość Pantalion „il re d'allegrezza e di baldoria“ miał przybić i tron swój na placu św. Marka rozłożyć, w ziemi podkarpackiej były także zapusty i także bawiono się chociaż nie z taką wyszukaną fantazyą.

W Tuliwodach było jednak bardzo cicho. Dwór był pusty. Pan Krzysztof przychodził tylko późną nocą do swego gościnnego pokoiku, bo cały prawie dzień siedział w orzelnicy lub chodził po gumnach. Dzisiaj jakoś wcześniej przyszedł do dworu. Przeszedł się kilka razy po obszernych i wysokich komnatach. Ściany odpowiedziały echem kroków jego. Zatrzymał się i echo ucichło. Obejrzał się w koło, był sam jeden.

Smutno zrobiło się zacnemu panu Krzysztofowi. Odkrzyknął aż szyby zabrzęczały. Na ten brzęk otworzyły się drzwi a do pokoju wszedł zaspany służący.

— Cóż tam Marcinku? zapytał pan Krzysztof, kontent, że ktoś drugi jest z nim razem.

— Cóż panie, odpowiedział Marcinok, smutno nam jakoś w zapusty.

— Co smutno, to smutno. Dyabla nie smutno, przyznam ci się, że nigdy jeszcze nie było mi tak smutno.

— Aby tylko jakiego nieszczęścia nie było.

— Cóż tam zaraz o nieszczęściu prawić. Na co wilka z lasu wywoływać. Ot smutno że państwa we dworze nie ma. Dwór bowiem, to tak jak dobry przyjaciel, smuci się gdy dziedzica nie ma.

— Może to i prawda, przecież te ściany dawniej były weselsze, a teraz takie jakieś smutne, że człowiekowi markotno na nie patrzeć. Zdaje mi się nawet, jakoby cały nasz dwór przez ten czas znacznie się postarzał. Widać to na dachu, oknach i ścianach.

— Masz słusność. Jak człowiek w zmartwieniu

swojem starzeje się, to samo dzieje się z dworem, w którym dziedzic nie mieszka. Czy wiesz Marcinku, że i ja gdy przyjadę do mojej chałupy zastanę ją starszą, chociaż właściwie teraz się odnawia?...
— Jakże to się dzieje aby drzewo i mur tak czuło jak człowiek?...

Rozśmiał się pan Krzysztof i szeroką dłonią podgarnął Marcinkowi czuprynę do góry.

— Widzisz Marcinku, rzekł wskazując drugą ręką na ściany, ten mur i to drzewo bardzo wiele wiedzą co się tutaj działo. One odpowiadały śmiechem na śmiech dziedziców szczęśliwych a płaczem i jękiem na boleść tych którzy tu płakali i jęczeli. Taki mur i takie drzewo to już nie jest prostą cegłą i zwykłą tarcicą, to powiernik dobrej i złej doli, to skarbiec różnych przygód w rodzinie, w których tworzy się potem historia.

Spostrzegł pan Krzysztof, że mówi za wysoko do prostego człowieka, ale mimo to miło mu było słyszeć własne słowa swoje; na które krwawo zapracował czytając różne książki po całych nocach.

— Tak jest, prawda dalej bez względu na poziom umysłu pocziwego Marcina, to nie mur ani drzewo, to historia nasza, która w tym drzewie i w tym murze, siedzi, to dzieje rodów naszych mieszczące się w tych szczelinach, a gdyby tylko język ich zrozumieć można, usłyszeliśmyby może nie jedną rzecz pouczającą. Ale ten język jest niezrozumiały, gdy w domu nie ma dziedzica...

Marcin kiwał głową, bo słowa pana Krzysztofa wydawały mu się jeszcze piękniejsze od słów księdza proboszcza gdy stoi na ambonie. Pan Krzysztof wziął to kiwanie głowy zacnego Marcinka za głębokie wrażenie jakie na słuchacza sprawiły podniosłe jego słowa. Ucieszył się tem bardzo bo to było dla niego dowodem, że oprócz gospodarstwa z gorzelnią rozumie się jeszcze i na innych rzeczach, i innym umie przemawiać językiem, czemu pani Eliza nigdy wierzyć nie chciała. Wprawdzie był to dopiero plon kilkunastu przeczytanych książek, ale plon sumiennie i z wielkim trudem zarobiony. Szczerze i serdecznie ucieszył się skutkiem tego plonu, a poważne kiwanie głowy pocziwego Marcinka było dla niego rozkoszną nagrodą. Radość ta nastroiła go jeszcze wyżej.

— Widzisz kochany przyjacielu, mówił dalej z pewnym smutnym wyrazem na rumianej twarzy swojej, wrzysk to co mówiłem o tych ścianach o tym murze, odnosi się tylko do domu rodzinnego. Czy ty wiesz co to dom rodzinny?

Marcinek kiwnął głową i westchnął przytem, jak to zwykł zawsze czynić w kościele, gdy przy ołtarzu zadzwonili.

— Poznaję po twojej głowie i tem westchnieniu, mówił dalej pan Krzysztof, że wiesz co to jest dom rodzinny. Dom rodzinny są to ściany, w których urodziliśmy się wychowali i w których także rodzą się i chowają dzieci nasze. A ty nie masz ani domu ani rodziny. Nieprawdaż?

Marcinek smutno podniósł ramiona do góry.

— Otóż widzisz, prawda dalej pan Krzysztof, smutno ci, bo nie masz ani domu ani rodziny. Widzisz, ja mam dom i to teraz dom dosyć okazały, bo kazałem go dwa łokcie z górą podnieść i ściany jego oblepić złotym papierem. Czy myślisz że mi w tym domu wesoło? Gdzie tam! Tak mi smutno jakbym był w pustyni... A wiesz dla czego? Oto że jestem sam w tym domu, że wprawdzie urodziłem się w nim ale nie ma w niej rodziny, jest tylko jeden człowiek który wprawdzie pracuje od świtu do nocy, ale dyabli wiedzą po co i na co pracuje.

Ostatnie dosadniejsze wyrażenie pana Krzysztofa podobało się bardzo Marcinkowi, bo je łatwo zrozumiał.

— To się ożenić i kwita! zawołał z pewną poufałością, która go mocno cieszyła a wtedy dyabeł nic wiedzieć nie będzie tylko pan Bóg i aniołowie wniebie.

— Dobrze mówisz, widać że masz rozum i pocziwe serce. Człowiek powinien się ożenić, aby miał co kochać i miłować. Człowiek, który nikogo nie kocha jest złym człowiekiem podobnym do owego kamienia w rzece, który fale wody toczy bez ustanku i bez celu. Gdyby on leżał na jednym miejscu, mógłby stać się fundamentem do pożytecznej budowy.

Marcinek kiwał ciągle głową.

— A tak, ciągnął dalej pan Krzysztof, z takiego kamienia nie ma żadnego pożytku. I jemu nie miło także tłuc się ustawicznie po dnie koryta, dokąd nawet słonko boże nigdy nie zaświeci.

Pan Krzysztof westchnął tutaj z całych piersi.

— Jak powiadam, ożenić się, powtórzył drugi raz zdanie swoje Marcinek w tem przekonaniu, że ono jest bardzo trafne i rozumne i na powtórzenie zasługuje.

Pan Krzysztof siadł na fotelu i szeroką dłonią przesunął po twarzy.

— Ożenić się! zawołał po chwili nic łatwiejszego jak powiedzieć: ożenić się. Ale z kim i jak?... to pytanie.

— Alboż to mało kobiet na świecie?... Alboż to zaraz w naszym dworze nie ma młodej wdowy?

Pan Krzysztof przesunął drugi raz ręką po twarzy.

— Ba, odparł, ale czyżby mnie chciała ta młoda wdowa?

Marcinek zawahał się trochę, pan Krzysztof patrzył na niego zrosnąc ciekawością.

— Możeby z razu nie chciała, odpowiedział wreszcie Marcinek, ale gdyby się dobrze namysliła, gdyby obaczyła dwór na dwa łokcie w górę podniesiony i ściany złotem papierem oblepione... gdyby...

Przerwał mu pan Krzysztof.

— Gdyby tylko dlatego za mnie poszła, zawołał z widocznym smutkiem, to już wolalbym życie moje zakończyć w stajni przy wołach i w gorzelni przy kotłach.

I smutek wybił się głęboki na pocziwej twarzy pana Krzysztofa. Marcinek zaś nie mógł ani tego smutku ani tych słów zrozumieć. Patrzył na pana Krzysztofa, jakby nie wiedział, czego właściwie on chce i czego do swego szczęścia pragnie.

Tymczasem wstał pan Krzysztof i szerokimi krokami zaczął przechadzać się po pokoju. Proste słowa Marcinka popsły mu szyk w głowie. Wzbudziły w sercu jego jakieś niemiłe uczucie, którego nie mógł się pozbyć.

Długo trwało milczenie. Wreszcie uznał Marcinek że rola jego jako powiernika myśli i uczuć pana Krzysztofa skończyła się, a zaczęła się dawna rola sługi.

— Co pan będzie jadł na wieczerek? zapytał w końcu.

To zapytanie przerwało smutny wątek myśli panu Krzysztofu. Zatrzymał się nagle przy Marcinku, pomyślał chwilę ale wnet machnął ręką i zaczął dalej chodzić.

— Daj co chcesz, mruknął pod nosem, daj kawałek chleba i sera.

— Zawsze chleb i sér, przecież dzisiaj niedziela i zapusty już się nie długo skończą, remonstrował Marcinek.

— Co mi tam zapusty, mruknął pan Krzysztof chodząc, zapusty mogą być zawsze, gdy człowiekowi dobrze się wie. Wiesz przecież, że w naszym gospodarstwie dobrze się wie. Po cóż więc zapust, chleb i sér to dosyć.

— Przecież dzięki Bogu jeść się jeszcze co znajdzie!

— To zaoszczędzić i schować jak państwo wróca...

— Moznaby upiec kurę.

— Czy ja to dziedzic, abym jadł kury? Jak przyjadę do mojej chałupy, to każę ich sobie dwie upiec. A tutaj na cudzym koszeie trzeba być oszczędnym. Rozumiesz?

Marcinek podrapał się w głowę.

— Powiedz gospodyni, mówił dalej pan Krzysztof, aby kury dobrze wyglądały gdy pani Eliza przyjedzie, aby spiżarnia była dobrze zaopatrzona, i aby masło było świeże... a konfitury czy się nie psują?

— Już tam na to wszystko jeszcze czas będzie... ale co pan dzisiaj będzie jadł na wieczerek?

— Najlepiej będzie jeżeli nie... Tak... nie nie będę jadł, bo jakoś nie mam apetytu. Będę listy pisał. Czy jest tam o czym napisać? Zawołać ekonoma.

Marcinek pokiwał głową i odszedł. Za chwilę stał przy drzwiach sążnisty człowiek z ogorzałą twarzą.

— Co tam słyhać nowego? zapytał pan Krzysztof.

Sążnisty człowiek odchrząknął i obtarł ręką wąsy.

— Dzięki Bogu, że nic nowego nie ma, odpowiedział.

Pan Krzysztof zmarszczył brwi.

— Za cóż to Bogu dziękować? zapytał gniewnie, czyż wy wszyscy jesteście za tem, aby tu zawsze było jak dawniej, i nigdy nic nowego się nie robiło.

Ekonom obtarł wąsy.

— Proszę pana, odparł, już ja tam pewnie państwu bardzo dobrze życzę, ale jeżeli człowieka wszystko dręczy, to jest rzeczą bardzo naturalną...

— Wszystko dręczy! A to dla czego?

— Widzi pan, dawniej inaczej było we dworze. Bez pewnych ludzi nie się nie robiło. Czy pani co było potrzeba, czy pan dziedzic chciał co sprzedać lub kupić, to oni do wszystkiego należeli. Oni doradzali, oni kupowali lub sprzedawali, brali pieniądze lub dawali naprzód, jeżeli wypadła potrzeba. Kupowali drzewo w lesie na pniu, a dawali za to sęgi do pieca i gorzelni. Nic bez nich nie było. Dzisiejszy młody pan wszystkich odsadził.

— I bardzo dobrze zrobił, odparł pan Krzysztof, który przyjaciela swego we wszystkim bronił, bo oni tyli na dworze podczas gdy dwór chudł coraz więcej.

Ekonom odchrząknął.

— To to prawda, odparł kiwając głową, połowa miasteczka zabudowała się z lasów dworskich i za lichwą przy sprzedażach i pożyczkach... ale jeżeli to się tak naraz urwało, to człowiek po nocach sypiać nie może.

— Czy obawiasz się czego?

— Od ludzi którym się łatwy zysk odbiera można się wszystkiego spodziewać? Jak tylko pies w nocy zaszeceka to człowiekowi mrowie po ciele przebiega.

— Można budynki assekurować.

Ekonom machnął ręką.

— Ej co tam assekurować. Już ja gospodarowałem nieraz z assekuracją. Assekuracja to proszę pana jest podobna do tego, jakby kto komu obiad zjadł przed nosem i potem za ten obiad mu zapłacił. Niech za te pieniądze idzie do traktierni, czy takiego obiadu dostanie. Będzie niesmaczny i niezdrowy i drożej trzeba za niego zapłacić. Dziękuję za to.

— Czyście co słyszeli?

— Słyszycie nie słyszałem, bo cóż tam uszy na-
stawiać gdzie człowieka nie proszono. Dosyć spojrzeć
im w oczy, co się tam w ich sercu dzieje, że ze dwor-
u nie kupić nie mogą, że z lasu kto inny drzewo
zabiera, że gorzelnia pędzi się na własny rachunek
dworu i woły tuczą się dobrze.

Pan Krzysztof zamyslił się.

— Co młody pan dziedzic robi, rzekł po chwili,
to wszystko jest dobre. Trzeba było raz skończyć
z takim porządkiem rzeczy, który był ciągle ruiną
dworu. Wierzę że tym ludziom, którzy za dawnych
rządów jak pijawki dwór wysysali, niebardzo jest
teraz miło, że to się urwało. Raz musiało się ur-
wać i dobrze że to teraz nastąpiło, gdy jeszcze jest
od czegoś się urywać. Że im nie dobrze z oczu pa-
trzy, nie dziwnego. I kot łypnie oczyma, gdy się
go od mleka odepchnie. Z tego jednak nie można
jeszcze wnosić, że ten kot rzuci się na nas i za gar-
dło nas chwyci. Tupnąć dobrze nogą, a bieda zmy-
kać będzie aż miło.

Ekonom poskrobał się w głowę.

— Dałby pan Bóg, odrzekł, aby się tak skończy-
ło, jak pan mówi. Gdy dziedzica w domu nie ma,
to człowiek wszystkiego się boi.

Pan Krzysztof rozmawiał jeszcze czas niejaki
z ekonomem a pożegnawszy go siadł do stolika i po-
łożył przed sobą dużą ćwiartkę papieru jak najbiel-
szego.

Kto znał przedtem zacnego pana Krzysztofa,
zdziwiłby się niemało, gdyby go ujrzał przy biurku
pochylonego nad papierem jak największego forma-
tu i kręcącego piórem to w tę to w ową stronę. Nic
innego nie mógłby przypuszczać jak to, że pan
Krzysztof na wołach zbankrutował a teraz poświęca-
jąc się literaturze, chce na nią odbić jako tako swą
stratę.

Bywały i takie u nas wypadki, ale nauczyły do-
statecznie poszkodowanych, że na tem polu samą
chęcią swoją trudno jest straty powetować. I nad panem
Krzysztofem trzebaby było ubolewać, gdyby go podobna
mania była nasza. On jednak dalekim był jeszcze od tej
manii. Jeżeli w tej chwili w kablak pozginał olbrzymie
członki swoje, to nie uczynił tego z miłości dla literatury
lub dla literackiego przemyśłu, ale poprostu pisał list, do
Wenecji.

Wenecją wyobrażał sobie zacny pan Krzysztof
w sposób trochę odmienny, jak ją zwykli turyści wi-
dzą. Wprawdzie widział on, że tam jest wiele wo-
dy, że wszystkie domy pałace i kościoły stoją śród
morza, że nie ma tam ani jednego konia ani jednej
dorożki, ale o tem wszystkiem nie myślał wcale
w tej chwili. Wenecja przedstawiała mu się tylko
w osobie Maryana i pani Elizy. Maryana nie po-
trzebował sobie idealizować ale za to panią Elizę
widział jako Wenere jadącą na muszli po wodach
Adryatyku. Do niej to właściwie odnosiły się sło-
wa jego w tym sążnistym liście, przy którym dwie
świece do szczytu się spaliły.

— „Nie uwierzysz przyjacielu, pisał między in-
nemi, jak mi smutno i tęskno jest bez was, gdy wró-
ciwszy z gorzelni przechadzam się samotny po po-
kojach waszego dworu. Dwór ten sam, ściany te
same i zwierciadła ale przecież brak tu czegoś, co
mi ongi ten dwór tak miłym czyniło... Już nie mó-
wię o tem, że ciebie zacny Maryanie tu nie ma, ani
szanownych rodziców twoich, ale w pamięci mojej
miga nieustannie owa żółtawa suknia w drobne
czarne pasczki, która tam na tej sofce tyle dowci-
pnych rzeczy mi nagadała. A nie były to rzeczy
tylko dowcipne, ale były bardzo trafne i przyjacielskie.
Rozmyślając nad niemi, powziąłem ochotę zo-
stać trochę innym człowiekiem i grubą skórę moją
o ile się da trochę oszlifować. Już trochę celu me-

go dopiąłem, bo mogę kilka książek z przyjemnością
od jednego tchu przeczytać i wiele nawet z nich po-
zostaje mi w pamięci. Jak widzę wszystko dla
człowieka jest możliwe, jeżeli wewnątrz ogrzewa go
uczucie szlachetne. Nie powiem, aby to uczucie
było moją zasługą, należy się ono wyłącznie pani
Elizie, która umiała w sercu człowieka prostego
rzucić ziarno lepsze, o jakim pierwój nie miałem
wyobrażenia. Teraz widzę że taki posiew jest ko-
niecznie w życiu potrzebny, bo podczas gdy nasze
siewy wydają nam tylko chleb powszedni, to posiew
z ręki kobiety jest prawdziwym macepanem, bez
którego nie ma żadnej lepszej biesiady życia... Ile
razy o tem myślę, zawsze serce moje przepełnia się
wdzięcznością dla owej żółtawej sukni w czarne pa-
seczki, którą widzę w każdym kącie salonu i jedwa-
bny jej szelest wyraźnie słyszę...

W gospodarstwie nie ma nic nowego, tylko stary
Aftanazy boi się w nocy szczekania psów i różne do-
mysły złowrogie ztąd snuje. Sądzę że on nie ma
racyi, chociaż rzeczywiście tym wszystkim ludziom,
których od spraw [dworskich odsunął, niedobrze
z oczu patrzy. Oni wyciągali już pazury swoje po
należące się im spadkobierstwo, a tymczasem chory
człowiek okazał znaki życia i chce koniecznie
przyjść do zdrowia. Sądzę że na tym gniewie się
skończy. Z listu twego, który przed tygodniem
otrzymałem, wieje jakaś woń dziwna podobna zu-
pełnie do woni na wiosnę gdy pszenica ma zakwi-
tnąć. Jeżeli się nie mylę, to coś tam zanoszą się na
jakiś kwiat dla ciebie. Jeżeli tak jest w istocie, to
przyjmij najszczerze moje życzenia, chociaż życze-
nia te z pewną boleścią z serca mego wychodzą. Nic
dziwnego. Człowiek za wiele jest egoistą, aby przy
cudzym szczęściu nie myślał o swoim. Otóż i ja
przy schodzącym dla ciebie kwiatku pomyślałem so-
bie o tak samotnym domku moim, któremu dzisiaj
już niczego nie brak jak tylko tego anioła co wła-
ściwie ożywia ściany jego i atmosferę zaprawia wo-
nią i szelestem złotych skrzydeł swoich... Widzisz
jak poetyczne myśli przychodzą mi w gorzelni do
głowy... powiedz to pani Elizie. W samotności
i myśląc o osobach oddalonych dziwnie się człowiek
zmienia. Pani Eliza w wielu rzeczach nie poznała-
by mnie teraz...

I tak dalej pisał zacny pan Krzysztof bardzo wie-
le jeszcze o swojej samotności, o książkach które czy-
tał i pani Elizie. Wreszcie zakończywszy swą episto-
łę jak najgorętszym afektem dla wszystkich już spo-
ro po północy, odczytał ją kilka razy i uznał w końcu,
że była dobrą. Był nawet z siebie widocznie
zadowolony, bo zdawało mu się, że w tym liście
przeszedł nawet dotychczasowe siły swoje.

Wesoły jakby pokrzepiony jaką lepszą nadzieją
zbudził się po kilkogodzinnym odpoczynku przy
trzecim pianiu kogutów, a chociaż był dzień mglisty
i dosyć jeszcze ciemno na dworze, zebrał się szybko
i wyszedł do gorzelni.

W gorzelni zastał ruch zwykły. Z kotłów bu-
chała para, ogień wrzał jak w piekle dantejskim,
a od czasu do czasu mieszał się w tem obrazie głos
robotników...

Pa Krzysztof usiadł na stoliku i śród tego pie-
kielnego łoskotu i ognia zamarzył sobie o Wenecji
i o swojej epistole, która w tej chwili siłą pary do
niej dążyła.

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXVI.

— Czy wiesz Hardzie, rzekł doktor Deus powró-
cając następnego wieczora na *Neptun*, kto teraz
największą ma nadzieję otrzymania ręki, niesworné
twój kapryśnej piękności?

— Zapewne, nie kto inny jak ja?

— Mylisz się.

— Cóż? Paweł?

— I ten nie.

— A więc ktoś taki?

— Ja mój drogi. Poszłaby za mnie i dzisiaj
jeszcze gdyby tylko moje duże usta przemówiły.

— Może masz słuszość, śmiejąc się odparł Ger-
hard, lecz o ciebie jestem spokojny, bo wiem że wła-
dzy swojej nie użyjesz, ale i Pawła nie więcej się
boję.

— Duma zawczasem przez ciebie mówi mój dro-
gi Hardzie.

— Odwagą się zwycięża!

— Dlaczego nie żądasz od Heddy stanowczej od-
powiedzi.

— Nie chcę ją naglić, bo dowieść pragnę że po-
zostawiam jej najzupełniejszą wolność wyboru. Czy
później śmiałym z zaufaniem na jej miłości pole-
gać, gdyby mi zarzucić mogła że miłość tę podkra-
dłem niejako? To co całkowicie do mnie jedynie
należać powinno, zdobywać muszę tak, jak mężczy-
źnie zdobywać należy, i umieć bronić tak, żeby za-
wsze moją zostało własnością!

— Ale czy wie ona że ty ją kochasz, gdyż po-
tym nader dogodnym układzie, według którego ka-
żde z was czyni i myśli co mu się tylko podoba, tak
jakby nie nigdy między wami nie zaszło, ta pe-
wność zda mi się być konieczną.

— Nie znasz się na tem drogi doktorze. Wie-
rzaj mi, Hedda tak pewną jest tego że ją kocham,
jak gdybym jej to teraz na nowo, tysiącem przysięg
potwierdził.

— Gdyby jednak Pawła kochała więcej niż cie-
bie?

— To być nie może!

— Dlaczego?

— Dlatego że człowiek namiętnie to tylko ko-
chać może, co uzupełnia jego istotę. Miłość nie
jest zbytkiem naszej natury, jak twierdzą niektórzy,
ale koniecznością jej i potrzebą. Paweł zaś posiada
wszystkie zalety i słabości Heddy, jest jakby od-
zwierciedleniem jej istoty, ale jej nieuzupełnia.

— Doprawdy, tak sądzisz?

— Nawet w ruchach są do siebie podobni. Czy
nie uważałeś jak oboje niecierpliwie podrzucają
głową gdy niedość prędko mogą przyjść do słowa?
Podobni są w zręcznej postawie, w lekkich porusze-
niach, i w głosie nawet. Moznaby ich wziąć za ro-
dzeństwo, co wszystko czyni że lubię Pawła, ale go
się bynajmniej nie boję.

— A czegoż się ty boisz?

— Wszystkiego co jest silniejsze ode mnie. Paweł
nim nie jest. Ja i w połowie nie posiadam jego
ukształcenia, wzniosłości ducha lecz podwójnie, po-
trójnie większą mam siłę do walki z życiem. Wła-
ściwa im gorączkowa czynność i marzycielstwo, któ-
re wzajemnie podniecałyby w sobie, stałoby się im
wkrótce ciężką męczarnią. Co do mnie, posiadam

odwagę i wytrwałość a w razie danym, bez chorobliwego drgnienia nerwów zniosę najsilniejszy cios losu. Takiego męża, powinna, musi wziąć Hedda, a nie marzyciela jakim jest Paweł. Szkoda że Klementyna zamężna, onaby była stosowną żoną dla niego.

— No, patrzajcie! ci wielcy panowie! zawołał doktor, nie dla nich zanadto dobrego nie ma, a najlepsze jeszcze ledwo za dobre uznać raczą! Że trochę piękniejsi od innych, już im się zdaje że są jasnymi synami nieba, i że im wolno wybierać wśród najpiękniejszych cór ziemi. A dla nas, niestety! nieurodzinych dzieci, nie uśmiecha się żadne błękitne oko, nie składają się do pocałunku żadne różowe usteczka i ani jedno białe łono nie podnosi się w miłośnej tęsknocie! O naturo! i cośmy zawiniłi, że musimy tylko wstawać głodni od stołu tej uczty miłości? O tak! ona jest piękna, ona zachwyca swym wysmukłym wzrostem, bujnym jasnym włosiem i temi błękitnymi tęsknami oczyma! Życie a choćby i umrzeć dla miłości takiej kobiety, to i rościć się warto!

I mówiąc to doktor gestykulował swemi długimi rękami, i w śmieszny sposób kołysał w tę lub w ową stronę dużą swą głowę.

Gerhard znał dobrze te namiętne wybuchy przyjaciela, któremi szczególnie ten człowiek od czasu do czasu przerywał rolę zimnego szydercy, jaką od lat wielu odgrywał; lecz tak był jedynie tylko Heddą zajęty, że prawie z zadziwieniem zapytał:

— Czy naprawdę Klementyna tak piękna?

— O bogowie! wykrzyknął doktor, ci zakochani nie mają ani uszu do słuchania, ani oczu do patrzenia, zachowajcież mnie od tak opłakanego stanu!

— Coś mi się zdaje że od tegoż stanu i ty niezbyt jesteś dalekim.

— Ja? zawołał doktor Deus już swoim zwykłym żartobliwym tonem „ja! wszak ja do miłości stworzony nie jestem!

Rozdział XXVII.

Tę jeszcze nocy poszła Klementyna na wieś odwiedzić chorego. Doktor Deus który pacjenta jej opatrzył, dzisiaj przy pożegnaniu obiecał przysłać maść ze swjej apteki, która niezwłocznie przyłożoną być miała, i właśnie obiecane lekarstwo nadesłał w chwili gdy w domu komendanta już wszyscy do snu kłaść się mieli. Pomimo spóźnionej pory, nie nikomu nie mówiąc, wyszła Klementyna z domu, a że stan chorego się pogorszył, więc zatrzymała się przy nim dłużej nieco, a przez ten czas zaszedł księżyc który przedtem świecił jasno i już zupełnie było ciemno gdy zwolna wracała do domu dobrze sobie znaną przez wieś drogą. Nagle od strony jednego z domków wysunęła się ciemna postać i na środku drogi o parę kroków przed nią stanęła.

Młoda kobieta przekonana że człowiek ten jest jednym ze sterników, śmiało szła dalej i gdy była już blisko niego, bez najmniejszej obawy dobry wieczór mu rzekła.

— Dobry wieczór łaskawa pani! odpowiedział głos pana von Elze.

Tak niespodziewane o tej porze spotkanie tego człowieka zachwiało odwagę Klementyny, tak że z trudnością krzyk przytłumiła.

— Pan tutaj? szepnęła idąc dalej.

— Tak pani, znowu tu jestem odrzekł pan von Elze nie odstępując od niej, tęsknota skraca daleką drogę. Widziałem gdy pani szła do domu Rickmana i czekałem tutaj na panią, gdyż raz jeszcze muszę z nią pomówić zanim na zawsze opuszczę tę stronę, a nie byłem pewny czy dobrowolnie uży-

skam sposobność rozmówienia się z panią. Ach! gdybyś pani wiedziała jak okropną jest dla mnie myśl opuszczenia pani na zawsze! o! miałabyś litość nade mną! Czy serce pani nie przemówiło za mną?

Czy naprawdę z takim spokojem żegnasz pani człowieka którego niegdyś przyjacielem zwałeś, dla którego doli i niedoli okazywałaś współudział tak serdeczny? O nie! tak okrutną pani być nie możesz! Klementyno! zruć z siebie tę dumę która nie czyni cię szczęśliwą, a mnie do rozpaczki prowadzi! Powiedz mi, że niezupełnie obojętny ci jestem, a jeżeli przez dumę słowem tego wyrazić nie chcesz, to serdeczny uścisk ręki niech mi dowodem będzie że w sercu twojem tleje jeszcze isierka przychylności dla mnie. O Klementyno! ty, tak dla wszystkich pełna słodyczy i dobroci, czyż możesz być bez litości dla mnie jedynie, który zawiniłem tem tylko że ciebie kocham nad wszystko! Mówiąc te słowa pochwycił jej rękę i chciał ją do ust swych podnieść. Lecz szybko wyrwała ją z jego ujęcia i chociaż drżała jak listek, silnym jednak wyrzekła głosem:

— Jeżeli pan raz jeszcze dotknąć się mnie ośmielisz, głośno zawołam o pomoc, i sam sobie będziesz pan miał do zawdzięczenia że i inni tak dobrze poznają się na panu jak ja go znam teraz!

— O nieba! zawołał pan von Elze czy miłość moja, która...

— Zaprzestań pan tych słów próżnych, przerwała Klementyna; gdyż zapewniam pana, że nie czynią na mnie spodziewanego wrażenia.

— Po małej przerwie podczas której pan von Elze w niemałym osłupieniu nie wiedział co mu dalej mówić wypada i w milczeniu postępował przy niej, Klementyna odezwała się głosem spokojnym:

— Chętnie przystaję na towarzystwo pana, gdyż dużo mam z nim do pomówienia, a w obecności innych ani bym chciała ani bym mogła powiedzieć to co powiedzieć muszę.

— Prawdziwie, łaskawa pani, rzekł pan v. Elze nie pojmuje...

— Zechciej mi pan tylko na jedno odpowiedzieć pytanie, powtórnie przerwała Klementyna, czy Marya Krafft mówiła prawdę opowiadając mi stosunek swój z panem? Milczenie pana to potwierdza, a więc dziewczyna nie skłamała! A teraz co pan z nią czynić zamierza? Zapewne, mógłbyś mi odpowiedzieć że to nie do mnie należy, że niedelikatnie z mojej strony mieszać się w cudze sprawy lecz zdaje mi się, że nie powiesz tego!

A może chcesz nagrodzić wyrządzoną jej krzywdę, i biedną córkę żeglarza wyniesiesz na wielmożną panią? Naprawdę, byłby to czyn szlachetny.

— Co? z oburzeniem zawołał pan von Elze.

— Tę jedną drogę masz przed sobą... I cóż? milczysz?... nie chcesz, nie możesz tego uczynić? Ja to i pierwój wiedziałam, dodała głosem ironicznym i pogardy pełnym. I jakież los czeka tę biedną dziewczynę która zawierzyła szlachetności pańskiej?... Przekleństwo ojca!... hańba i nędza!... albo i śmierć może!

— Jakiegolwiek są moje błędy, stłumionym głosem rzekł pan von Elze, skąpstwo nigdy nie było wadą moją, i zaręczam że ona z mojej winy nigdy cierpieć nie będzie.

— A na szczęście jesteś pan w możności zamienić w czyn swoje szlachetne chęci! zawołała Klementyna nie mogąc dalej powstrzymać wybuchu oburzenia. O! jakże nikczemnym jest postępek pański! Biedna Marya!...

Właśnie zbliżali się do domu. Klementyna znów się odezwała:

— Żegnam pana i mam nadzieję, że widzę go po raz ostatni!

Przy tych słowach spiesznie weszła do domu zamykając drzwi za sobą. Pan von Elze stał w miejscu przez parę sekund, potem założywszy w tył ręce ze zwieszoną głową zwolna się oddalił.

A tak był zatopiony w niezbyt zapewne wesołych myślach, że nie słyszał cichych kroków postępującego za nim człowieka, który wysunął się z głębokich cieni jednego z małych budynków otaczających podwórze, (gdyż Klementyna przez podwórzową bramę weszła do domu). Na otwartej przestrzeni pomiędzy domem a ławami piasku, człowiek ten szedł ciągle za nim w równej odległości. Gdy jednak pan von Elze minął pagórek na którym stał domek strażnika, człowiek ów przyspieszył kroku i był już blisko niego, gdy porucznik spotkał strażnika w domu którego mieszkał i który właśnie powracał z warty.

— Czy to wy Ronsaku spytał pan von Elze.

— Dobry wieczór panie poruczniku, odpowiedział tenże, a gdzie to o tak spóźnionej porze? i razem poszli dalej. Tajemniczy człowiek zatrzymał się i patrząc za niknącymi w cieniach nocy postaciami półgłosem rzekł do siebie.

— Nie dziś! do sposobniejszej chwili odłożyć trzeba porachunek między nami mój panie von Elze!

Rozdział XXVIII.

W tym samym prawie czasie w którym Gustaw powrócił na *Orla*, pan von Elze przybił retniańską łodzią na Nedur, którą wracając pocztowym parowcem napotkał w drodze.

— Rozmowa z Pawłem owęj nocy na wybrzeżu silnie zrobiła na Gustawie wrażenie, i gdy serdeczna wiara Pawła w miłość i wierność Klementyny, zagasiła prawie zafocanie na nowo roznieciła w jego sercu, szczerą i ostrą krytykę otworzyła mu oczy na nierozsądne jego postępowanie.

Teraz już w łagodniejszym świetle widział stosunek Klementyny i porucznika.

— Paweł ma słuszość, myślał w duszy; gdy ona sama nie przeczuwała nawet skłonności do nieznajomego, nie powinienem być chłodnym obejściem odpychać jej od siebie.

Ja sam jestem przyczyną że ten obcy tak prędko stał się przyjacielem i powiernikiem; przy pierwszym niebezpieczeństwie które naszemu szczęściu zagraża czyż się godziło zostawiać samą tę łatwowierną i nieświadomą istotę?

Z silnem postanowieniem wyjaśnienia tego tak między nimi naprężonego stosunku, wrócił Gustaw z podróży. Gorącą miłość którą zawsze ku żonie swjej żywił, zazdrość zamieniła w płonącą namiętność, która teraz, gdy ją nie tłumila chorobliwa duma, rozwinęła się silniej jeszcze. On musiał zaraz, natychmiast widzieć ją, rozmówić się i przebaczenie jej wybłagać. Podczas gdy wszystko spało na *Orle*, w małej swej łodzi przeprawił się na Nedur. gdy był już na podwórzku, spostrzegł nadchodzące dwie postacie widocznie żywą zajęte rozmową, skrył się między budynki nie chcąc być poznanym o tak późnej godzinie.

Postacie zbliżały się, przeszły tuż obok niego, usłyszał głos Klementyny! Mówiła żywo i cicho, tak że niektóre tylko wyrazy był w stanie zrozumieć, a człowiek który jej towarzyszył, nie był, nie mógł być kim innym jak tylko panem von Elze! Parę minut stali jeszcze przed drzwiami, usłyszał wyraz pożegnania, Klementyna weszła do domu, a po chwili wolnym krokiem zamyślony odszedł i pan von Elze. On tutaj! wśród ciemnej nocy! sam na sam z jego żoną! a ona, zwykle mileżąca, teraz

tak wiele z takim mówiła zajęciem!... A więc się ziściły najgorsze jego obawy, bezpowrotnie na zawsze, zniszczone zostało szczęście jego życia!

I ten silny mężczyzna ugiął się pod tym okropnym ciosem, dostał zawrotu głowy i aby nie upaść o mur oprzeć się musiał. Potem zerwał się nagle, w duszy jego zawrzała zemsta, pospieszył za swym rywalem, i pan von Elze śmiało szczęściu swemu zawdzięczyć może, iż w stanowczej chwili, wśród ław piaskowych, gdy go przeciwnik już dosiigał prawie, na drodze swojej napotkał strażnika. Kto ręczyć może czy tej okoliczności nie zawdzięczał życia swojego. Gustaw, nie miał wprawdzie broni przy sobie, ale namiętność czyniła go szalonym, był on niezwykłej siły fizycznej a w walce człowieka z człowiekiem schyłym, rozpustnym życiem zenerwowany porucznik, zginął by zgnieciony w jego ręku, jak ginie lampart pod potężnymi łwami pazurami. Z sercem przepełnionem wściekłością i zwątpieniem, wszedł Gustaw do swojej łodzi i na *Orla* popłynął. W duszy jego zrodziło się silne postanowienie; poprzysiągł oszczędzić kobietę, którą pomimo wszystkiego kochał, uczuciem głębokim, która była matką jego dziecięcia ale zemścić się i zemścić się krwawo na nędznym uwodzicielu.

Rano dnia następnego porucznik Gerhard w towarzystwie przyjaciela swego doktora Deusa udali się na *Orla*. Dowiedziawszy się o powrocie Gustawa, osobiście poznać go chcieli, przyczem porucznik Gerhard chciał się zapytać, czy na odpowiedzialność swoją pożyczę mu Gustaw, swojego parowca.

Podczas burzy, *Neptun* bardzo został uszkodzony i okazała się konieczna potrzeba bez zwłoki dostawić okręt do portu. Gustaw przyjął tych panów z największą uprzejmością, i chętnie parowiec dać obiecał, lecz pod warunkiem by do pojutrze zechciał poczekać porucznik, gdyż dnia tego miała być skończona na ten rok wyznaczona robota, którą byłoby trudno przerywać i odkładać.

Następnie zaprosił panów na przekąskę i na kieliszek wina, ci jednak zmuszeni byli odmówić bo na obiad przyrzekli powrócić na *Nedur*, i namawiali Gustawa by z nimi popłynął. On jednak ku wieczorowi dopiero przybyć obiecał, i prosił porucznika by to Klementynie oznajmił, a Pawłowi oddał listy które z miasta przywiózł do niego.

Gdy przybyli na *Nedur* zastali towarzystwo zwiększone o dwie osoby: byli to panowie von Elze i von Sanzen którzy przed chwilą przybyli. Gerhard powtórzył Klementynie zlecenie Gustawa, oddał listy Pawłowi i opowiadał całemu towarzystwu o wdzięczności swój dla Gustawa, który z całą gotowością przyszedł mu w pomoc, dość że dzięki *Orłowi* pojutrze będzie się mógł puścić w dalszą drogę.

— Ja, jutro już wyjeżdżam, odezwał się pan von Elze, mój przyjaciel chce koniecznie bym u niego na wsi parę dni przepędził zanim te strony opuszczę, a najpóźniej za tydzień muszę już być w nowej mej ojczyźnie.

— Może i ty sąsiedzie zechcesz nas także opuścić? zapytała Hedda.

— W rzeczy samej, odpowiedział Paweł składając listy, chcę właśnie prosić porucznika Helm, by mnie pojutrze do S. zabrał z sobą, w razie, gdybym jakiejś wcześniej wyjeżdżającej nie znalazł łodzi. Sądziłem że już odwiedziny moje, i tak za długie może, będę mógł jeszcze przeciągnąć, lecz oto, donosi mi pewna znakomitość literacka z którą jestem w korespondencji, że wkrótce umyślnie by mnie osobiście poznać, przez S. przejeżdżać będzie. Może chcesz się pani przypatrzeć panno Heddo, autografowi dość znanej osobistości w literackim i naukowym świecie? dodał, list jej podając.

— Ma się rozumieć, odparła Hedda oczyma list

przebiegając; zetknięcie się dwóch takich ludzi nadto jest ważnem zdarzeniem w świecie uczonych, by w obec niego nie miały zniknąć wszelkie inne względy. Widocznie wielkiemu człowiekowi niemało na tem zależy by poznać swego młodszego brata w duchu; wielkiemu człowiekowi trzeba zadość uczynić i patetycznym ruchem ręki list Pawłowi oddał.

— Ach prawda! to już zanadto! zawołał pocziwy komendant, wszyscy kochani nasi goście chcą nas opuścić. Co to za wielki o którym mówicie? Powiedźcie mu niech do nas przyjeżdża, tutaj na *Nedur* do starego Waltera, komendanta sterników. Mój drogi Pawle, pisz do niego natychmiast! Nie puśćimy naraz wszystkich naszych gości, nieprawdaż Heddo?

Lecz Hedda nie słuchała, z zapalem deklamując w tej chwili:

*„Denn auch Niobe, dem schweren
Zorn der Himmlischen ein Ziel,
Kostete die Frucht der Ähren
Und bezwang das Schmerggefühl“*

Co w prostej prozie znaczy: że chociaż chcesz odjechać jutro czy pojutrze, to dzisiaj nie powinniście jeść zimnej zupy.

Doktorze Schwarz czy zechcesz mi podać ramię. Czarną kawę wypito w altanie, a potem grano i śpiewano w ogrodowej sali. Dzień był prześliczny, błękitne niebo, orzeźwiające ciepłe powietrze, i morze małemi tylko marszczące się falami, tworzyły harmonijną całość spokojnego krajobrazu. Jaskółki latały wysoko, a wyżej jeszcze skowronki, gnieźdzące się we wrzosach i nędznej trawie *Neduru*. Takich dni pięknych i więcej przeżył już Paweł na wyspie, lecz o tamtych myślał z wewnętrzną tęsknotą i liczył do chwil niepowrotnie minionych. Teraz rozmyślał o tej nieskończonej, nieokreślonej rozkoszy owych dni, gdzie pod wpływem nowych osób i przedmiotów, był jakby wzniesiony w czyste balsamiczne powietrze, w którym pełniej i silniej oddychał, czuł piękniej, myślał wzniosłej i jaśniej; ale z tej błogości dzisiaj nie już nie pozostało! Wprawdzie otoczenie było to samo, téż same pieśni którym się z tego samego miejsca przysłuchiwał, ta sama śpiewaczka wykonywała je słodkim, pieszczotliwym głosem, to żartobliwie i figlarnie, to marząco i poważnie, stosownie do ducha kompozycji: ale dla niego zmieniło się wszystko, wszystko było inne, zupełnie inne! Skosztował owocu z drzewa doświadczenia, a każdy wie dobrze, że szacowne owoce tego drogocennego drzewa gorzko smakują w początkach. Do snu podobna idylla jego życia na wyspie już się skończyła!

W swawolnem, niepowstrzymanej wesołości zachowaniu się Heddy, odgadywał jasno co się w jej duszy działo; spojrzenie, ulotne słowo, niezrozumiałe dla innych, dla niego były jednak pełne znaczenia i utwierdzały go w przekonaniu że szczególna dziewczyna kocha całym zapalem namiętnego serca pięknego odważnego marynarza, i tylko z dumy czy téż z fantazyi zapiera się tej miłości.

— We mnie widzi onatyko odzwierciedlenie swego ducha, i dlatego ceni mnie i drogim jej jestem. W owych sferach gdzie wolni jesteśmy od wszystkiego co ziemskie, uczucie takie wystarczyć może, ale dla ziemskiej miłości nie jest ono dostatecznem. Z trudnością rozstanie się ze mną, ale dlatego mianowicie że obawiać się będzie uczynić mi przykrość, lecz raz rzec się mnie musi, a wreszcie łatwiej pożegna tego, dla którego mniej bolesnem będzie pożegnanie, a tym właśnie ja jestem! wszakże nie bez korzyści czytałem Spinozę?

Ku wieczorowi przybył Gustaw. Był blady, posępny i pomimo że starał się być wesołym, Klemen-

tyna spostrzegła to zaraz, i rzekła z troskliwością zbliżając się do niego.

— Gustawie, ty chory być musisz.

— Ja, chory? odparł obojętnie, nigdy nie czułem się zdrowszym; i o swojego małego Pawełka zapytał. Za chwilę piastunka przyniosła dziecko; lecz gdy je wziął na ręce zaczęło płakać, i wyciągało rączki do ulubieńca swojego Gerharda, który stał obok.

— Weź je pan! rzekł Gustaw podając mu dziecko i przypatrywał się w milezeniu gdy natychmiast przestawszy płakać, uśmiechać się zaczęło, bawiąc się złotemi epoletami porucznika. Tłumiąc westchnienie odwrócił się Gustaw: Matka i dziecko, pomyślał w duszy, ach! to okropne, za miłość bez granic nie być nagradzanym obojętnością albo nienawiścią!

Klementyna widząc to ponure usposobienie męża, które starał się pokryć maską towarzyskiej swobody, nie jeden raz miała na ustach: Gustawie chodź, muszę ci moje serce otworzyć! ale nie powiedziała tego, wstrzymywały ją duma i nieśmiałość. W duszy coraz było jej smutniej, umysł dręczyły ponure myśli; i czyżby sprawdzić się miała przepowiednia Pawła, że tym dwojgu ludziom, w stanowczej dla nich chwili zabraknie odwagi?

Może Paweł byłby mógł jeszcze rozwiązać węzeł który się coraz bardziej zaciągał, ale teraz właśnie sam nadto był sobą zajęty i tem co go osobiście dotyczyło, i na ten raz jedyny może nie było co liczyć na niego. Ów list był mu bardzo na rękę, gdyż tłumaczył spieszny jego wyjazd; wzięwszy na bok Gustawa zapytał go czy jutro nie posyła łodzi do miasta.

— Czy chcesz jechać? spytał Gustaw.

— Muszę.

— A to, dlaczego?

— Przy sposobniejszej chwili opowiem ci.

— Zostań jeszcze dni parę, proszę cię o to! dzisiaj jeszcze, najpóźniej jutro, powiem ci dlaczego pragnę tego koniecznie.

— Czy już rozmówiłeś się z żoną Gustawie?

— Nie jeszcze.

— Nie zwlekaj Gustawie, tak bym pragnął aby jeszcze przed moim wyjazdem wszystko się wyjaśniło mogło między wami.

— Bądź pewny, spokojnie odrzekł Gustaw, wyjaśni się wszystko.

— Tego się spodziewam, odparł Paweł, ale w tej chwili całą uwagę swoją skierował na małą scenę odgrywaną się w ogródku, którą przez okno przy którym stali śledzić mógł doskonale.

Hedda wyszła przed chwilą by podać swoje kwiaty; Gerhard patrzył na nią stojąc w otwartych drzwiach sali, a gdy już była na drugim końcu ogródka, skoczył ze schodków i w jednej chwili stał tuż przed zarumienioną dziewczyną.

— Heddo! wyszeptał prędko, ja wyjeżdżam pojutrze.

Hedda milczała, nie przerywając swego zajęcia i podlewając dalej kwiaty.

— Nie mogę odjechać nie dowiedziawszy się pierwej czy jesteś jeszcze moją, Heddo! Ty wiesz że ciebie kocham i wiecznie kochać będę! Teraz nie odpowiadaj mi jeszcze Heddo, zawołał pospiesznie widząc że podniosła głowę chcąc mówić, jutro dopiero przyjdę po twoją odpowiedź! Postępuj szczerze, nie obawiaj się obrazić mnie odmową, to nie jest hańbą być odrzuconym dla takiego człowieka jakim jest Paweł! To mówiąc odwrócił się szybko i napowrót wszedł do ogrodowej sali.

Podczas gdy Gustaw z Pawłem, Gerhard z Heddą a komendant z doktorem i panem von Sanzen w drugim oknie rozmawiali, pan von Elze przystą-

pił do Klementyny na sofie siedzącej i rzekł stłumionym głosem:

— Chciałbym pani powiedzieć słów kilka... i wytłumaczyć powody...

— Nie obchodzą mnie wcale ani powody, ani tłumaczenia pańskie, odpowiedziała z zimną obojętnością młoda kobieta, powstając z kanapy i odchodząc do jadalnego pokoju gdzie właśnie stół nakrywano.

Pan von Elze zgrzytnął zębami. To nie do zniesienia! rzekł do siebie, dumna kobieta! obchodzi się ze mną jak z żakiem! o! pożałuje tego!

Wkrótce potem podano kolację. Rozmowa była ożywiona, bo każdy o ile mógł starał się pod zasłoną wesołości ukryć swój zły humor, niepokój, zawieść, albo też miłość i zazdrość; z wyjątkiem więc komendanta nikt w towarzystwie nie miał prawdziwie swobodnego umysłu. Bo pan von Sanzen i doktor Deus, jako powiernicy głównych osobistości w odgrywanym się tutaj dramacie, mieli także myśl swą zajętą. To też z okazji wyjazdu jednych i rozłączenia się wkrótce zebranego tu towarzystwa, panowie więcej niż zwykle kieliszkiem bawić się poczęli.

Klementyna skarżyła się na ból głowy, i niedługo po obiedzie wymknęły się obie panie. Panowie paląc, pijąc i rozmawiając siedzieli jeszcze przy stole, gdy niespodzianie pan von Sanzen zwracając się do pana von Elze zapytał:

— A propos Albercie, i co ty zrobisz z tem wyśmienitem winem które masz w piwnicy?

— O to się troszczyć nie warto, śmiejąc się odparł pan von Elze, nie ma go już więcej nad pół tuzina butelek.

— Które mógłbyś mnie zostawić; rzekł tenże.

— Albo i mnie! wesoło zawołał komendant, moje reńskie właśnie się skończyło.

— Najlepszy sposób pogodzenia stron obu, rzekł doktor Deus który już pił dużo, wypić na miejscu przedmiot tak zaciętego sporu.

— I to byłoby dla mnie największą przyjemnością, zawołał pan von Elze, dotąd jeszcze nie miałem szczęścia powitać panów u siebie. Wprawdzie wskutek przygotowań do podróży w mieszkaniu mojem wielki panuje nieład, ale stół i siedm krzeseł znajdują się jeszcze.

Czy mogę panów prosić?

Paweł spojrział na Gustawa i zdziwił się niemało widząc że z gotowością przyjmuje ten wniosek. Inni nie mieli powodu odrzucenia tak uprzejmych zaprosin i niezwłocznie opuszczono dom komendanta. Wśród pięknej, spokojnej nocy, kroczyło wesołe hałaśliwe, nieco towarzystwo, ku mieszkaniu pana von Elze.

(d. c. n.)

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z materyi à la Pompadour. Vêtement à panier otwarte z przodu, z długą kamizelką; Vêtement i spódnica przybrana wyciętami w zęby plisami z materyi, z pod których wychodzi oszyta koronką muslinową, drobno plisowana falbanka. U dełu falbanka z nadgłówkiem po nad którym dana jest ufaladowana i drobno plisowana falbanka. Kapelusz krepowy ozdobiony bukietem kwiatów i koronkowymi końcami.

Suknia z materyi adamaszkowej i gładkiej. Stanik,

zwierzchnia tunika, równie jak piękna draperya a panier wychodząca z pod długiej kamizelki, są odrobione z jasnej, adamaszkowej materyi, druga zaś, spadająca z pod niej draperya i suknia z gładkiej, ciemnej materyi. Piękna frendzla z jasnej szneli i ciemnego jedwabiu otacza obie draperye. Garnirunek spódnicy przepinany kokardami z jasnej wstążki. Kapelusz ze świecącej słomki przybrany gerlandą z kwiatów i długimi końcami ze wstążki.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu K. K. W każdej poezyi warunkami niezbędnymi: jest treść godna podniesienia: przeprowadzenia jej i z obrazowanie treściwe nietrywialne, a wreszcie forma czyli szyk sława o ile można wytworny. Jeżeli rzecz może zainteresować tylko małą liczbę osób, w obrazowaniu trafia się wiele pospolitości i rymy naciągane a raczej myśl do rymów naginana, to w takim razie wiersz nie ma żadnej wartości: gdy mu brakuje jednego z tych warunków jest lichotą, partactwem. Do pisania wierszy zwykle rwą się młodzi i gdy im się uda coś nieźle nakreślić, to są niemal pewni, że parnas otworzył dla nich podwoje. Dziwić się temu nienależy: prozą bez treści pisać nie można, wierszując można jak to mówią, bająć i bając i jakoś na pozór wyjdzie to i niejednemu spodoba się. Ale nie bądzie to ani poezją ani rymarstwem tylko bajdarstwem. Wierszyki nadesłane należą do tej kategorii: szanowny pan w liście zdanie to zupełnie podziela, spełniając zatem życzenie bezwzględnej prawdy, radzimy młodemu autorowi uczyć się i czytać wiele aby poznał jako u nas już pisano i jak piszą, a w ówczas sam najlepiej oceni wartość swojej dzisiejszej pracy o której wartości tak jest przekonany.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjacieli Dzieci, w trzecim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej wprost do Redakcyi, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przysyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie Kwartalnie rs. 1 kop. 80.
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycją i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie Kwartalnie — k. 75.
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycją i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 1.

Półrocznie . . . rs. 2.

Rocznie . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swęj użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny

Adres do J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcji rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w kwartale III roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY
w Warszawie Kwartalnie rs. 1 kop. 20
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycją i przesyłką pocztową:
Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.

Przyjaciela Dzieci Nr. 26 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem (z drzeworytem). — Bajka i wiersz (wiersz). — Figiel wiarusa (komedia). — Rycerze w orszaku królewskim (z drzeworytem). — Czyny nauczające. w Dodatku: Posel polski.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do J. K. Gregorowicza. Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).

Tygodnika Rolniczego Nr. 25 wyszedł z druku i zawiera:

O ważności wykazywania przy urządzaniu lasów właściwego dochodu. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. Rzepak zimowy. Krowiarnie. Tępienie ognichy, modraku i maku. Żyto świętojańskie. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.
Adres: Do Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.



SZALONE OZENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciag dalszy).

— Mam nadzieję że nie zbraknie mi sił do spełnienia obowiązku... codziennie proszę o to Boga, mówiła spokojnie Fanny. Gdyby szczęście Eryka zależało od tego, gdyby kochał mnie rzeczywiście, wtedy, ponieważ milczenie moje w tych paru ostatnich latach można było wziąć za zezwolenie, nie wahałabym się ani chwili choćby przed największą ofiarą... Ale on mnie nie kocha... i nie zdolny jest kochać kogokolwiek prócz siebie... Daruj mi, lady Dynely, ale trzeba abyś ty nawet usłyszała czasem słowa prawdy odnoszące się do Eryka. Mogłabym kochać go jak brata... nawet jak ty sama chlubić się jego pięknoscią ale gdyby kiedykolwiek został on moim mężem... wtedy nienawidziłabym go.

— Fanny!

— Słowa moje drażnią cię milady, i sprawiają ci przykrość, a jednak są najzupełniej prawdziwe. Eryk znudziłby się mną zanim by upłynął tak zwany miodowy miesiąc... jeśli się pobierzemy, będzie to błąd straszny i zgubny, a jednak jeśli wszyscy będziecie mnie do tego zmuszać, cóż mam robić, pomimo mej woli będę zniewolona uledeć...

— Jesteś romantyczna, Fanny, dla ciebie trzeba by jakiegoś bohatera, rycerza jak Bayard, kochanka jak Lancelot; ale, kochane dziecko, tacy już obecnie nie pojawiają się na świecie. Już od dawna, bardzo dawna nie ma podobnych im w Anglii, wyszli z mody zarówno jak turnieje i igrzyska. Wiem że pójdziesz za Eryka i wpływem swoim pokierujesz go i podniesiesz; zasiądziesz w parlamencie, będzie w nim przemawiał, stanie się wzorowym mężem, czule kochającym swoją przesłiczną żonę, która będzie najszczęśliwszą kobietą w Anglii. Oh! Fanny, zostań żoną mego Eryka! tak kocham was oboje, że chyba umrę ze zmartwienia jeśli się nie pobierzecie.

— A ja umrę jeśli się pobierzemy, odpowiedziała z gorzkim uśmiechem Fanny. Nie mówmy już o tem, moja matko... Obiecaliśmy odwiedzić państwa Vere, mamy teraz tydzień swobodny, a ileż to zmian zajść może w przeciągu tego czasu. Mam najgłębsze przekonanie że nigdy nie zostanę lady Dynely.

Rozdział VIII.

Kto ona?

Widownią jest stary ogród otaczający stary dom, czas, godzina przed zachodem słońca, godzina w której najrozkoszniejsze wonie roztaczają się w powietrzu, osoby: młodzieniec i dziewczyna; nazwiska ich: Terencyusz Dennison, oficer 21-go pułku dragonów J. K. Mości, i Iza Higgins, ósma z rze-

du córka wielbego Williama Higgins, wikaryusza w Starling i zarazem „piękność rodziny.“

Piękność?... No, to rzecz względna. Jeśli ktoś lubi cerę białoróżową, ósma z rzędu córka pana Higgins może się nią pochwalić; ma także małe korallowe usteczka a obok nich ładne dołeczki. Kto lubi niskie nie mówiące czoła, niebieskie oczy z dziecinnością, jakby zadziwionem spojrzeniem, mglistą aureolę jasnych bardzo blond włosów i okrągłą nie wyrażającą brodę, znajdzie to wszystko u panny Higgins. Jeśli kto pragnie figurki szczupłej i wciętej którą można by objąć ręką, drobiutkie kształty, słowem postać wiotką jak gałąź lilii, ten znajdzie swój ideał w pannie Izie. Jest to ładne niby dziewczę, ale w całej postaci jest coś czczego, gołąbkowatego, czułościowego, są przecież mężczyźni którym takie właśnie piękności się podobają. Rozumu nie szukaj u niej bo go ma cię zaledwie znajomości świata ani odrobiny. Słowem była to jedna z tych istot które są ideałem mężczyzny nie lubiących kobiet wykształconych, mających własne zdania i przekonania, gdyż według nich są to przymioty właściwe wyłącznie mężczyznom.

Terry Dennison, zacy, szlachetny Terry, był wielbicielem i niewolnikiem Izy Higgins.

Miała obecnie lat siedemnaście, a Terremu zdawało się że ją zawsze ubóstwiał, tak ubóstwiał, bo ten tylko wyraz oddaje wiernie uczucia jego, od czasu jeszcze gdy miała zaledwie lat siedem. Pomimo swęj gołębięj niewinności, Iza wiedziała że jest ładna, i cieszyła się tem równie jak jakaś zalotna kobieta.

Wszak od pieluszek pieoszono ją, chwalono, dogadzano, za jej wilgotne błękitne oczy, jaśniutkie blond włosy, maleńkie rączki i nóżki; wszak wiedziała dobrze jak zaniedbywano, łajano nieraz jej starsze siostry, a ją zapychano ciastkami i cukierkami? Więć myślała sobie: jak dziś tak zawsze być powinno i będzie, gdyż tak już zapisano w przeznaczeni księdze. Siedmiu kopeiuszków, to jest starsze jej siostry pracowały w domu i w kuchni krzątały się, szyły, łątały, Iza, jakby polna lilja, nie zajmowała się, nie kłopotowała niczem; tak teraz jak zawsze same tylko słodycze i przyjemności życia miały być jej udziałem; wszak była śliczną złotowłosą blondynką z błękitnymi oczami, więc należała do liczby istot uprzywilejowanych, niech męczą się i pracują kobiety brzydkie, ze spłaszczonemi nosami i żółtą zwiędłą cerą, ale ona!...

Wszak niezadługo już pewnie zostanie żoną Terrego, a przez to będzie spowinowacaną z arystokratycznymi rodzinami. Może owa wielka pani będąca opiekunką i przyjaciółką Terrego, raczy i nią się zając i nietylko przyjmować u siebie ale wprowadzić w wysokie sfery społeczne... a kto wie, może nawet zechce przedstawić ją u dworu, a w takim razie świat rojeń zamieniłby się dla niej w rzeczywistość.

Poszedłszy za Ferre'go, pozna owego świetnego i pięknego lorda Eryka, o którym on tyle jej rozpowiadał, pozna dystygowaną i śliczną pannę Forrester którą miała zostać jego żoną—a kto wie, może ona podoba się obojgu... Oto jak rola Iza Higgins przechadzała się po ogródku wikaryatu z poezjami Tennyson'a lub Ovena Meredith w ręku, oto przyszłość o jakiej marzyła.

Choć Terry dotąd jeszcze nie oświadczył się sta-

nowczo, wiedziała jednak że ją kocha i pragnie pojąc za żonę, bo każda prawie, choćby najniewinniejsza dziewczyna potrafi, gdy zechce, czytać w sercu mężczyzny, jak w otwartej książce—wiedziała tedy że Terry kocha ją i kochał zawsze, a i ona bardzo, bardzo go lubiła. Wprawdzie nie była w nim zakochana, ale przekładała go nad wszystkich znanych mężczyzn, a potem był oficerem dragonów, co także nie mały wywierało na nią urok.

Szkoda tylko, myślała z żalem, że Terry ma rudawe włosy, żaden z bohaterów czytanych przez nią romansów, nie miał czerwonych włosów—ale cóż robić nie ma przecie doskonałego szczęścia na tej płaszczyźnie, tak mówili jej rodzice chcąc uleczyć z sentymentalności ładną jej główkę. Chyba tylko istoty wybrane, należące do wyższego świata,—jak na przykład panna Fanny Forrester, mogą znaleźć mężów pięknych jak bogowie Grecyi, utytułowanych i bogatych. Mniej szczęśliwi śmiertelnicy, muszą poprzestawać na tem co im los udzielić raczy i przyjąć z wdzięcznością jego dary. Zresztą położenie żony oficera dragonów posiadającego prócz pensyi pięćset funtów rocznie, wydawało się także dość świetnem pięknej córce wikarego.

Ale dla czego Terry nie oświadczył się jeszcze? Doniósł jednak listownie o swém szczęściu, o niewyčerpanej dobroci lady Dynely, i tak Wielebny pastor jak jego żona, cieszyli się że przyszłość Izy była już zapewniona.

Iza przyjęła tę wiadomość z uśmiechem zadowolenia, i z pewną przyjemnością patrzyła na kwaśne i zazdrosne spojrzenia i miny siedmiu starszych od siebie panien Higgins, już zwiędłych lub wędzących. Terry oznajmił że wkrótce przybędzie.

„Zdaje mi się Izabelo, drogie moje dziecko, rzekła pani Higgins, że możemy już pomyśleć o wyprawie; zajmie to zawsze dość czasu, a niepodobno nawet wątpić że przyjedzie tu po to jedynie aby się oświadczyć o twą rękę.“

Zabrano się więc do roboty i przysposobiono już niektóre rzeczy, kiedy w pierwszym tygodniu sierpnia zjawił się w Starling oczekiwany niecierpliwie oficer dragonów. Z jego oczu i twarzy łatwo można było wyczytać jak wielką mu to sprawa radość że się znów wśród nich znajduje. Wpatrywał się w Ize pełnym ognia i miłości wzrokiem, i gdyby wiedział że go za to czekają tortury, nie byłby wstanie oderwać oczu od jej ładnej twarzyczki, przez pierwsze przynajmniej kilka minut. Później chodził za nią wszędzie jak jej własny cień; jego spojrzenia, ruchy i wszystko co czynił zdradzało miłość, ale nie wyrażał jej nigdy słowami. Rumienił się jeżeli nagle zwróciła na niego oczy, drżał skoro niespodziewanie przemówiła do niego, a gdy mu podała białą swą rączkę, przyjmował ją z tą nieśmiałością właściwą ludziom silnej budowy ciała, jeżeli są obdarzeni gorącym sercem i zostają pod wpływem prawdziwego uczucia. Nigdy jednak nie wyjawiał wyraźnie swych uczuć; zdawało się że usta jego nie są zdolne wypowiedzieć tego prostego zapytania: „Czy chcesz zostać moją żoną, miss Izabelo Higgins?“

Pani Higgins zaczęła już patrzeć na niego krzywo przez swe okulary, a siedem siostr starszych trochę szyderskie rzuciły na Izabelę spojrzenia, ona zaś sama zaczęła co raz szerzej otwierać z zadzi-

wienia swe turkusowe oczy, i zadawać sobie pytanie z jakiego powodu Terry jest tak nieśmiały i tak pełnym uszanowania dla niej; już miał nazajutrz wyjechać a nie oświadczył się jeszcze.

Była to właśnie rocznica urodzin Izy, i zamierzono ją obchodzić uroczysto: najprzód miano się bawić w kroket w drugim ogrodzie za domem gdzie zwykle suszono bieliznę; po tem będzie herbata w cieniu jabłoni a następne tańce przy świetle księżyca.

Goście już się zaczęli schodzić, ale Terry uważał że pani Higgins i siedem jej córek mogą ich przyjmować i bawić bez pomocy Izy; wziął więc za rękę swoją ukochaną, i wyszedł z nią na ostatnią przed wyjazdem przechadzkę.

„Odjeżdżam jutro i nie wiem jak długo mnie tam zatrzyma lady Dynely, pozwól mi więc, dodał patrząc na nią, napawać się widokiem moich róż i niezapominajek, dopóki jestem przy tobie.

— Zdaje mi się, Terry, rzekła ósma panna Higgins z nadąsaną miną, że jesteś zbyt nieodstępnym i potulnym towarzyszem lady Dynely, można by powiedzieć że jak jej ulubiony charcik: na jej rozkaz biegasz, szukasz i przynosisz. Sądzę że jesteś już w tym wieku iż nie powinienbyś na to pozwolić aby się obchodzono z tobą jakby z jakim niedorośłym chłopcem.“

Iza może pierwszy raz w życiu wyrażała się tak stanowczo i energicznie, ale tegoż samego dnia właśnie matka powiedziała jej, że powinna koniecznie, postarać się o to aby Terry oświadczył się wyraźnie, bo w przeciwnym razie ojciec będzie musiał zapytać go o jego zamiary.

Twarz Terrego pozerwieniała zrozumiał wymówkę i czuł że była zasłużona. Miłość może być ślepą, ale znów nie do tego stopnia aby już nie widziała. Spojrzała czego od niego żądano w domu wikarego; co nawet jego ulubiona usłyszeć pragnęła, i zrozumiała że ściągając na siebie niezadowolnienie nie czyniąc tego co z całej duszy radby uczynić. Zasługiwał na te wyrzuty i uznawał się winnym. Cóżby to było gdyby Iza wiedziała że to lady Dynely kazała mu milczeć jeszcze? Jakżeby nim pogardzała! I pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl że nie było to bardzo szlachetnie ze strony tej najjaśniejszej z kobiet że wymogła na nim podobną obietnicę.

„Nie trzeba mi było tu przyjeżdżać pomyślał, dopóki mi nie wolno wypowiedzieć wszystkiego co czuję i czego pragnę. O! w takim razie moja ukochana dowiedziałaby się zanim zniknęłyby ostatnie promienie zachodzącego słońca, że najdroższemu, najgorętszemu życzeniu mego serca jest, abym mógł ją nazwać moją żoną.

Była tak miłutka, taka śliczna przy różowawych odbłyśkach kryjącego się słońca.

„Ale, pomyślał Terry, w którejże chwili dnia ona nie jest zachwycającą?

Miała na sobie białą muslinową suknię, a należała do rzędu tych wiotkich i eterycznych istot, które zdają się do tego stworzone aby nosić białe przejryste i powiewne szaty. Przy staniku miała bukiet z róż, róże w ręku, i małeńki, zachwycający kapelusik na głowie. Kilka sznurów imitacji pereł otaczało jej białą szyję i spadało na stanik, a błękitna wstążka mieszała się wdzięcznie ze spadającymi na ramiona blond włosami.

Łagodne promienie zachodzącego słońca padały na jej piękną twarzyczkę, malutka i biała jak śnieg rączka wspierała się na ramieniu Terrego, a jej łagodne oczy zwrócone na niego z wyrazem tkliwej wymówki i oczekiwania, zdawały się mówić:

„Wiesz że cię kocham... ja zaś pewną jestem że mnie ubóstwiasz: czemuż więc nie powiesz tego wy-

rażnie aby uszczęśliwić mamę i mnie? Dostę ci objawić twoje życzenie aby zostało spełnione... Bardzo to źle z twojej strony że tak postępujesz.

Terry widział i rozumiał co mówiły jej oczy, i przeklinał uczynione przez siebie przyrzeczenie które zamykało mu usta.

„Słuchaj Izo, odezwał się na koniec, jest coś takiego co pragnę ci powiedzieć...“

Serce Izy uderzyło tak silnie że aż zadrżał bukiet z róż przypięty do stanika, a po różowych usteczkach przesunął się uśmiech którego powstrzymać nie mogła.

„Ale teraz jeszcze powiedzieć nie mogę...“

Zamilkł, bo uśmiech z ust zniknął, a w oczach zabłysnął gniew i przestach.

„Nie mogę ci powiedzieć teraz, dodał Dennison śpiesznie, bo... bo przyrzekłem; bo i maie także mają coś powiedzieć, i muszę odjechać i usłyszeć to zanim wrócę do ciebie, i powiem to co tak powiedzieć pragnę.

Mówiąc to patrzył na nią błagającym wzrokiem; najnieodmyslniejsza w świecie kobieta musiałaby zrozumieć znaczenie słów jego, ale Iza przybrała miłą niewiniątką, i pomimo że silny rumieniec pokrył jej licę, i że pomimowolnie spuściła oczy, odpowiedziała oskubując neliłościwie róże które trzymała w ręku.

„Nie rozumiem wcale tego co mówisz, panie Dennison, ani też po co przysłałśmy tutaj, a mam szczerą ochotę grać w kroket i sądzą że wszyscy zaproszeni już przybyli.

— Więc nie chcesz mi przyrzec Izo?..

— Cóż ci mam przyrzec Terry?

— Że czekać będziesz dopóki nie wrócę... że... że nie zapomnisz o mnie...“

Panna Higgins rozśmiała się. Młoda dziewczyna odzyskuje natychmiast odwagę i swobodę obejścia, skoro niepewność lub wewnętrzny niepokój czynią jej kochanka nieśmiałym i niezgrabnym.

— Że będę czekać do twego powrotu?.. doprawdy zabawny jesteś Terry, nie mam przecie zamiaru uciec ztąd nigdzie. Że nie zapomnę o tobie?.. Doprawdy byłoby to niepodobieństwem choćbym nawet chciała; bo siostry moje mówią o tobie od samego rana aż do wieczora? Chodźmy już grać w kroket.

— Zaczekaj jeszcze chwilę, Izo. Kupiłem dziś pierścionek ten dla ciebie; noś go jako dowód twój zyczliwości dla mnie aż do mego powrotu a wtenczas zamienię go na inny, z brylantami.

Mówiąc to wydobyl z kieszeni małe pudełeczko, z którego wyjął pierścionek z turkusami i perłami, jakby umyślnie zrobiony do ozdobienia tak malutkiej rączki, i włożył go na kształtny paluszek Izy.

— Noś go Izo, powtórzył z wyrazem najwyższej czułości, jako dowód twego przywiązania do mnie.

Terry przycisnął do ust drobną rączkę, Iza spojrzała na niego i zrozumieli się, i nie potrzebują już mówić nic więcej. W gruncie Iza jest dobrą dziewczyną i nie ma zamiaru igrać z sercem swego nieśmiałego wielbiela. Wszystko będzie dobrze; Terry jest bardzo miłym chłopcem, i ona powie ojcu aby już nie pytał go jakie ma zamiary.

Zatrzymali się jeszcze chwilę. W dali przed nimi zachodzące słońce zdawało się zapadać w morze, a purpurowa jego tarcza, odbijająca się w stawie ukrytym wśród otaczających jego brzegi drzew i krzaków, wyglądała jak wielka plama krwi.

Jakie to piękne... godne pióra Tennyson'a... powtarzała w myśli panna Higgins, ale duszą była już wśród grających w kroket.

„Wróćmy już do domu Terry,“ chciała powiedzieć po raz trzeci ale zatrzymała się spojrzawszy na Terrego.

Patrzył prosto przed siebie z natężoną uwagą, a twarz jego wyrażała powątpiewanie i radość. Iza

zwróciła oczy w tę samą stronę, i spostrzegła mężczynę zbliżającego się ku nim.

„To on! zawołał Terry z radością. Tak to on!

— Kto taki, Terry?

— Eryk. Dziwiło mnie to właśnie że mnie dotąd nie odwiedził. Bawi już od pięciu dni u sir Filipa Carruthers. Tak, tak, to Eryk.

— Eryk?

— Tak, Eryk... lord Dynely, wszak go znasz... jeżeli nie osobiście to ze słyszenia, bo tak często mówiłem ci o nim.

Rzeczywiście panna Higgins słyszała o nim bardzo wiele, dla tego też z żywszemu biciem serca zaczęła przyglądać się młodemu lordowi, którego Terry Dennison przedstawiał jej zawsze jako najpiękniejszego młodzieńca w całej Anglii.

Panna Higgins patrzyła więc z najgłębszą uwagą. Ścieżką zbliżał się wolnym krokiem młody człowiek liczący najwyżej dwadzieścia dwa lat, blondyn z prześlicznymi błękitnymi oczyma, i zgrabnymi wąsikami, który jednak widocznie starał się nadać sobie minę i naśladować ruchy stuletniego starca, któryby już siedemdziesiąt lat temu wyczerpał wszelkie rozkosze świata. Od tej chwili przyszłość tych trzech osób uległa zupełnej zmianie.

„Szczerze ci jestem wdzięcznym, kochany Eryku, że nie zapomniałeś o mnie, zawołał Terry, z twarzą tak rozpromienioną, jakby sam widok nowoprzybyłego sprawiał mu najwyższą radość. Pozwól abym cię przedstawił panie Izabeli Higgins. Izo, mój najlepszy przyjaciel, towarzysz moich lat dziecińczych, lord Dynely.

Lord Dynely uchylił kapelusza i uklonił się z tym wdziękiem którym odznaczał się zawsze. Omdlewając przed chwilą jego oczy, zabłysły ogniem jak oczy wojownika gdy przeczuwa bitwę. Terry powiedział mu że jest ładna... Ładna! Terry jest prawdziwym barbarzyńcą, Gotem, Wandalem, to zachwycająca, idealnie piękna dziewczyna!

— Czy umiesz dobrze grać w kroket Eryku? zapytał Dennison. Dziś rocznica urodzin Izy. Urządzamy partyę kroketu i potrzebujemy dobrych graczy. Iza jest mistrzem w tej sztuce i nieodmiennie we dwie minuty otrzymuje nademną zwycięstwo.

— Jeżeli panna Higgins zechce na to zezwolić, będę się uważał za nader szczęśliwego, odpowiedział Dynely zwracając na nią spojrzenie które już tyle uczyniło ofiar, a które też i teraz wywarło swój skutek, przyspieszając uderzenia serca Izy, i wywołując na jej twarzyczkę silny rumieniec.

— O! najchętniej, dziękuję panu.

Było to wszystko co zdołała odpowiedzieć, zmieszana obecnością młodego lorda. Pomimowolnie wsparła się silniej na ramieniu Terrego, i nabrała przekonania że czas półbożków nie przeminął jeszcze, skoro ten zachwycający *nobleman* żyje na świecie.

— Nie bój się, Izo, odezwał się głośno i wesoło Terry, Eryk nie jest tak strasznym jak się wydaje. Czy w czasie twego pobytu w tych stronach odebrałeś wiadomość od matki lub Fanny?

Eryk rzucił na niego pełne niezadowolenia spojrzenie. Doprawdy, Terry nie ma wcale taktu; czy to właściwa pora mówić o... Fanny Forrester.

— Dziś rano odebrałem list od matki, odpowiedział. Poleciała mi abym ci przypomniał że obiecałem jej wrócić wkrótce, i dla tego właśnie chciałem widzieć się z tobą. Gdybym był wiedział, dodał rzucając spojrzenie na Ize, że mieszkasz w raju, już dawno pośpieszyłbym do ciebie.

Wrócili do domu wikarego; lord Dynely został przedstawionym panu, pani, pannom Higgins, a na-

stępnie gościom i wprawił w zachwycenie wszystkie kobiety, swoją pięknoscia, wdziękiem obejścia i ułożenia, oraz swą uprzejmoscia.

Tak, grał w kroket, i grał doskonale: Iza i on wyszli zwycięzcami ze wszystkich partyi. Po krokiecie bawiono się w drugą grę klasyczną zwaną *Ciotka Sally*, a przez ten cały czas Eryk był ciągle obok Izy, i po setny raz zapalna jego wyobraźnia płonąć zaczyna, głowa się zawraca, piękna, nie znana mu dotąd twarzyczka wprawia go w zachwycenie.

„Anni Laurie musiała być do niej podobną, pomyślał, tkliwa, łagodna, niewinna gołąbka.

Szczególna rzecz, właśnie ta jej dziecięca niewinność zachwyca go najwięcej.

Udano się na herbatę zastawioną pod jabłoniemi. Obrus śnieżnej białości, filiżanki z porcelany szarej z niebieskim, przestarzałego kształtu, gorąca herbata, ciasta pieczone w domu i konfitury. Eryk który wyszedł z domu przed obiadem, poświęca się mężnie na męczeństwo: pije herbatę, je ciastka i konfitury; usługuje pannom, prawi im komplementa i bawi rozmową.

Zanim jeszcze skończono herbatę, księżyc ukazał się na niebie, było to hasłem do rozpoczęcia tańców przy dźwięku fortepianu, staruszka, na którym już ośm panien Higgins egzercytowało się w muzyce. Następnie wrócono do salonu, gdzie tańczono jeszcze czas jakiś, to jest do godziny jedenastej o której rozeszli się goście.

— A więc wyjeżdżasz jutro, Dennison'ie, zapytał lord Dynely, ściskając go przy pożegnaniu za rękę.

— Tak, a ty?

— Ja pozostanę jeszcze parę dni. Carruthers prosi mnie o to, a dom jego jest bardzo miły. Masz tu śliczny garnizon Terry... prawdziwy seraj piękności.

— Jakże ci się ona zdaje? zapytał Dennison.

— Ona?... Kto taki?... Jest ich tu tak wiele. Aha! mówisz zapewne o królowej dzisiejszej uroczystości. Co do niej, jest równie piękna jak najpiękniejsze z kobiet które kiedykolwiek widziałem. W ogóle, nie mam upodobania w wiejskich pięknościach, ale ta jest tak miła i powabna jak rozkwitająca róża. Kiedyż będę ci mógł powińszować, Terry.

— Mam nadzieję że wkrótce, odpowiedział Terry z radosnym uśmiechem i spojrzeniem.

Lord Dynely uśmiechnął się jakoś dziwnie i odszedł.

— Iza spostrzegła idącego do bramy i poszła za nim. Jakiego w takim razie używa sposobu to trudno byłoby powiedzieć, dosyć że posiadał jakiś wyjątkowy dar przyciągania ku sobie, i teraz też doprowadziła go aż do bramy i jeszcze przez sztachety podała mu rączkę drżącą, rączkę na której był pierścionek Terrego. Ucisnął ją z czułością, przez chwilę zatrzymał w swą dłoń, i zapytał pochylając przed nią piękną swą głowę:

„Czy mogę przyjść tu jeszcze, Izabelo?

Imię to pomimowolnie nasunęło mu się na usta, było tak właściwe dla niej, a zdawało mu się niepodobieństwem nazwać tak śliczne dziewczę panną Higgins. Odpowiedź jej mógłby tylko powtórzyć księżyc lub lord Dynely, ale musiała być zadawałnią, bo uśmiech błakał się jeszcze po ustach Eryka kiedy wrócił do swego pokoju.

„Jest to tak śliczne dziewczę że już dawno nie widziałem nic równie pięknego, pomyślał; i ma pójść za takiego draba jak Terry... To być nie może... to zbrodnia prawie! Jak ona łatwo się rumieni,

jak jest wrażliwą i niesmiałą! Tak rzadko teraz można widzieć coś podobnego, że sama nowość pociąga ku sobie. Jest to jedno z tych serc tkliwych i kochających, które można równie łatwo zlać, jak otrząsnąć popiół z tego cygara.

Była już dwónasta kiedy wrócił do pałacu, nie położył się jednak. Usiadł, pali papierosy jeden po drugim i rozmyśla... dziwna rzecz... on rozmyśla! W ogóle lord Dynely nie oddaje się temu zajęciu, ale ten wieczór stanowi wyjątek. Następstwem tego rozmyślenia było postanowienie napisania listu. Rzucił papieros, usiadł przy biurku i skreślił co następuje.

Pałac Carruthers, 5 sierpnia 1870.

Droga Fanny!

Przez te kilka dni rozmyślałem głęboko nad tem co mi powiedziałaś, i w końcu nabrałem przekonania że masz słusność; byłoby niesprawiedliwie i nieszlachetnie zmuszać cię do spełnienia układu zawartego bez twego zezwolenia. Kocham cię szczerze i zawsze kochać będę, ale nie chcę cię zmuszać abyś mi oddała rękę skoro serce twoje nie zezwala na to. Nie, droga moja Fanny, choćby mnie to najwięcej kosztować miało... a czy potrzebuję mówić jak wielkie sprawi mi to cierpienie? rzekam się wszelkich praw do twój ręki. Jeżeli tylko nie możesz mi odpłacić równem mojemu uczuciem, nie będę cię zniewalał do zawarcia związku nie uświęconego przez miłość. Mogę być nieszczęśliwym, ale ty zostaniesz wolną.

Teraz dopiero zrozumiałem że byłem samolubem, odwołując się do praw moich, i na przyszłość nie przypominę ci ich już nigdy, jeżeli nie pozyskam twój miłości. Odpowiedz mi dopóki tu jestem... będzie to dla nas mniej przykrem niżeli ustna rozmowa. Jeżeli mnie kochasz, przywołaj mnie do siebie, a pojmiesz zapewne z jaką pośpieszę radością. Jeżeli przeciwnie czujesz że nie zdołam pozyskać twego serca, pochylę z pokorą głowę, i poddam się twemu wyrokowi.

Szczerze cię kochający

Eryk.

Lord Dynely pieczętując ten list podziwiał szlachetność swych uczuć, swoją wspaniałomyślność i gotowość do ofiar. Nie tak łatwo byłoby znaleźć człowieka zdolnego wyrzec się z tak heroiczną bezinteresownością ukochanej przez siebie kobiety, i skazać się na cierpienia dręczące go odtąd nieprzerwanie aż do grobu. Nie, nie, mało kto potrafiłby zdobyć się na taką odwagę, i Fanny uznać to musi. Tylko że jest to dziwna dziewczyna, i to niepokoiło go trochę; miał jednak nadzieję że nie zechce okazać się równie wspaniałomyślną jak on, i nie będzie obstawać bądź co bądź, przy doprowadzeniu do skutku raz ułożonego związku.

List jego odszedł rannym pociągiem; Terry wyjechał w południe, a wkrótce po tem lord Dynely zapukał do drzwi wikaryatu.

Córki państwa Higgins były wszystkie przystojne, wesołe i dość jeszcze młode, z wyjątkiem trzech najstarszych, bardzo wychudłych i już podstarzałych; ale Iza wśród nich wyglądała jak brylant między zwyczajnymi kamkami. Eryk osądził że zyskiwała jeszcze na bliższym poznaniu. Śpiewała dla niego miłym, mezzo-sopranowym głosem, spacerowała z nim po ogrodzie, i pączek róży odpięty od swego stanika przypięła mu drżącą rączką, do tużurka; słowem była tak zachwycającą że jego Wielmożność przyszedł znów następnego dnia.

Wieczorem przyniesiono mu list; zadrżał spojrzawszy na niego. Był to śmiały i pewny charakter

Fanny i pieczęć z herbem Forrester'ów, a koperta spora, kwadratowa wyglądała jakoś wojowniczo. Musi tam być przynajmniej sześć ćwiartek wzdłuż i wszerz zapisanych, które trzeba będzie przeczytać, rzekł do siebie ciężko wzdychając. Młode panny lubią skazywać swoje ofiary na podobną pańszczyznę. Złamał pieczętkę. List zawierał tylko trzy wyrazy, i do tego jeszcze bardzo krótkie.

Opactwo Dynely, czwartek 7 sierpnia.

Kochany Eryku!

Kto ona jest?

Szczerze życzliwa

Fanny.

Rozdział IX.

Wyznanie.

Wieczorem tego dnia w którym Terencysz Denison miał wrócić do Opactwa, lady Dynely czekała na niego, siedząc sama jedna w swoim pokoju przy oknie. Dzień był gorący, duszny, powietrze nie ochłodziło się nawet po zachodzie słońca i było tak ciężkie że trudno nim było oddychać; wszystko zapowiadało że lada chwila wybuchnie burza. Żadna gałązka się nie porusza, żaden listek nie zadrży; najłżejszy powiew wiatru nie ochładza rozpalonego czoła lady Dynely. Twarz jej zawsze bladawa, wydawała się śmiertelnie bladą przy słabym świetle wieczornem; wsparła głowę na dłoń i drżała ciągle jakby zostawała pod wpływem jakiejś strasznej obawy.

Czekała na Terrego, i prawdopodobnie była jedyną kobietą która miała lub mogłaby mieć w przeszłości powód drżać z przerażenia, na myśl że zobaczy go wkrótce. Nie on to jednak budził w niej ten przestrah, ale tajemnica którą mu odkryć miała, tajemnica już od tak dawna zagrzebana w głębi jej sumienia, dręcząca i krępująca jej duszę, niwecząca spokój jej umysłu, zatruwająca wszystkie chwile jej życia, przez całe lat szesnaście... która w chwili gdy jej ją powierzono była tajemnicą złego uczynku i okrucieństwa innej osoby, ale następnie pokrywała także jej własną winę.

Lady Dynely była dobrą, sumienną i spełniała ściśle swoje obowiązki względem innych według pojęcia jakie o nich miała. Była wyrozumiałą dla sług, miłosierną dla biednych, kochającą matkę, szczerą przyjaciółką. Przez całe życie jednemu tylko człowiekowi wyrządziła krzywdę, a był nim właśnie ten który ją cenił i kochał nad wszystkich w świecie; tym człowiekiem był Terry.

Ale była słabą i niesumienną przez dumę macierzyńską i nieograniczoną miłość dla syna. Ta duma i ta miłość stanęła między nią i obowiązkiem, zamknęła jej usta i uczyniła ją występłą. Żle postąpiła względem Terrego; wyrządziła mu z rozmysłem ciężką krzywdę, i została ukaraną za to ciągłymi wyrzutami sumienia, dręczącemi ją nieustannie, i zatruwającemi jej życie. Brzemie tej winy było zbyt ciężkie aby je dłużej dźwigać mogła; dziś wieczorem prawda zostanie wyjawioną, a wtenczas co bądź się stanie, sumienie jej będzie oswobodzone.

Ale było to ciężkie zadanie i dumne jej serce czuło całą gorycz i upokorzenie wynikające z takiego wyznania. Nie śmiała myśleć o mężu lękając się aby nie przekleła go w grobie. Nie śmiała myśleć o synu, ani też o strasznym jego gniewie i wyrzutach jakimi ją obsypie skoro dowie się o tem. Zaledwie miała odwagę myśleć o Terry, o tym szlachetnym, zacnym chłopcu, posiadającym tak prawe

nieocenione serce, który pokładał w niej nieograniczone zaufanie, i którego przywiązanie i wdzięczność dla niej były tak szczerze i głębokie. Droga obowiązku ze wszech stron najeżona cierniami ale wejść na nią powinna.

„Boże! dodaj mi siły! powtarzała, wznosząc do nieba gorącą modlitwę, bo ten krzyż za ciężki na moje ramiona!

Odgłos dobrze jej znanych kroków odezwał się na korytarzu pomimo rozciągniętego na nim kobierca. Były to właśnie kroki tego którego oczekiwała. Zapukał do drzwi... Milczała przez chwilę jakby dla nabrania odwagi...

„Proszę wejść... rzekła nakoniec drżącym głosem.

Dennison wszedł. Cofnęła się za firankę; w ciemności nie mógł dostrzedz śmiertelnej bladoci twarz jej pokrywającej, a jednak dojrzał w całej jej postawie coś takiego co go przeraziło. Zbliżył się i ujął jej rękę.

„Czy się stało coś złego? zapytał niespokojnie. Czy jesteś chora, milady?...
— Nie, jestem zdrowa, odpowiedziała słabym głosem. Usiądź, Terry, muszę ci dziś opowiedzieć długą historię. Powinnością moją było powiedzieć ci ją już dawno, ale byłam złą i nikczemną... nie powiedziałam... nie miałam odwagi.

Usiadł na niskim taboreciku przy jej nogach, i patrzył na nią z zadumieniem i przestachem.
— Pokładałeś we mnie nieograniczoną ufność, Terry, byłeś mi wdzięcznym, kochałeś mnie! A! biedny chłopcze, nie wyobrażasz sobie jakim ciężarem była dla mnie ta twoja miłość i wdzięczność; nie warta jestem ani jednej ani drugiej; zasługiwałam tylko na twoją pogardę.

— Lady Dynely!

— Prosiłam Boga aby mi dodał siły, ale napróżno. Znałam mój obowiązek względem ciebie, względem nieba i względem własnego sumienia, ale nie chciałam go spełnić. Ukryłam prawdę, otoczyłam się cieniem zbrodniczej tajemnicy, i krzywdziłam cię ciągle, bezprzestannie.

— Mnie krzywdziłaś! mnie, lady Dynely! zawołał osłupiały. Czy rozumiesz, milady, znaczenie słów swoich.

— O! byłoby to dla mnie szczęściem gdybym nie rozumiała! odrzekła z goryczą. Zdaje ci się to dziwnem, nieprawdopodobnem, Terry; ale zaczekaj dopóki nie powiem ci wszystkiego... Wtenczas całe twoje przywiązanie do mnie zamieni się w pogardę.

— Nigdy!... zawołał z żywością. Cokolwiek mógłbym usłyszeć, nie nie zdoła zmniejszyć mego przywiązania i wdzięczności mojej dla ciebie milady. Wzrastały one ze mną, i stanowią część mojej istności. Gdybym przestał wierzyć w dobroć twoją, musiałbym zwątpić o wszystkim co dobre i zacne na ziemi.

— Nie, nie, rzekła głosem zdradzającym głęboką boleść. Zaczekaj dopóki nie wyjawię ci prawdy. Powiedz mi, Terry, czy nigdy nie zadawałeś sobie pytania, dla czego zabrałam cię z wieśniaczej chaty, dla czego zajęłam się twojem wychowaniem, dla czego łożyłam na twoje utrzymanie?

— Tak, ale tylko niekiedy, odpowiedział trochę zmieszany, bo wierzyłem zawsze temu co mi powiedziano o moim pochodzeniu. Jestem synem dalekiego krewnego lorda Dynely, którego ty, milady, przez dobroć serca wydzwignęłaś z nędzy i obsypałaś dobrodziejstwami. Oto historia mego życia, wszak prawda?...
— O! nie, nie, nie!... było zupełnie inaczej. Dobroć mego serca! Jakże to gorzką ironię zawierają te słowa wychodzące z ust twoich!... Dalekim krewnym mego męża. Terry... ty jesteś jego synem!

— Lady Dynely!

— Tak, Terry, jego synem... jego starszym synem!

— Patrzył na nią w milczeniu. Czy lady Dynely dostała obłąkania? Co ona mu za dziwne opowiada historie? Synem lorda Dynely! W tej chwili twarz Terrego silnym zapłonęła rumieńcem. Synem lorda Dynely!... A matka jego była córką irlandzkiego wieśniaka! Te szczegóły zestawione z sobą wyjaśniały wszystko.

Schwycił się za głowę jak człowiek na którego nagle spadło straszne nieszczęście. Mało jest ludzi, nawet między najgorszymi, którzyby nie szanowali mniej lub więcej pamięci matki, a dla Terrego pamięć matki, którą wyidealizował sobie, była świętą, pomimo że nigdy o niej nie mówił, że wspomnienie o niej ukrywał w najgłębszym zakątku swego serca. A teraz powiedziano mu że lord Dynely był jego ojcem!

„Dla czego powiedziałaś mi to, lady Dynely? zapytał z gorzkim wyrzutem.

Położyła rękę na pochyloną jego głowie.

— To nie było jak ty sądzisz, Terry, odpowiedziała smutnie. Wiem co myślisz... ale mylisz się... Matka twoja była równie prawą małżonką lorda Dynely, jak ja nią jestem, ty zaś jesteś równie prawym synem lorda Dynely jak Eryk, a co więcej... jesteś jego spadkobiercą!

Ucieszony tem zapewnieniem nie usłyszał dobrze słów jej ostatnich.

— Dzięki Bogu! wyszeptał, byłoby to zbyt dla mnie bolesnem. Ale... synem lorda Dynely! O! milady, wybac mi, ale trudno dać temu wiarę.

— Jest to dziwnem rzeczywiście, ale nie rozumiałeś mnie jeszcze dobrze; jesteś nie tylko synem lorda Dynely, ale jeszcze jego spadkobiercą.

— Spadkobiercą!... powtórzył jakby odurzony.

— Jesteś trzy lata starszym od Eryka; czy nie rozumiałeś mnie jeszcze?... Matka twoja była prawą małżonką lorda Dynely, a więc ty nie jesteś Terencuszem Dennison, lecz wicehrabią Dynely.

Spojrzał na nią z wyrazem przerażenia.

— A czemuż będzie Eryk?

— Tak, czemuż będzie!... odpowiedziała z wyrazem niewysłowionej boleści, Erykiem Hamilton, młodszym synem, z majątkiem wynoszącym zaledwie połowę tego co dziś wydaje na cygara i bukiety. Ty odziedziczasz wszystkie tytuły i posiadłości; on jest drugim synem i młodszym bratem. Oto tajemnica której dowiedziałam się, na moje nieszczęście, szesnaście lat temu, przy śmiertelnem łożu twego ojca, tłómacząca zarazem moją, jak ją nazywasz, wspaniałomyślną szcudrobliwą dla ciebie; tajemnicą która zatruliła mi życie. Gdybym była więcej w złem zatwardziała, byłabym mogła nie wyjawiać jej nigdy, ale słabość mego charakteru nie dozwala mi być ani dobrą ani złą zupełnie. Teraz wiesz już wszystko, wiesz że tak ja jak mój syn jesteśmy na twojej łasce.

Nastało długie, głębokie milczenie. Lady Dynely siedziała sztywna i nieruchoma jak posąg z marmuru, z rękami opuszczonemi na kolana, błędny wzrok utkwiony w przestrzeni.

Dennison był najzupełniej odurzony i osłupiały i wysilał wszystkie siły aby się z tego otrząsnąć. Mimo to w głowie jego panował chaos, nie mógł zebrać myśli. Więc on nie jest Terencuszem Den-

nison, ubogim, z miłosierdzia wychowanym krewnym, ale starszym synem i spadkobiercą lorda Dynely, parem Anglii!... Eryk, młodszy brat jego, nie ma najmniejszego prawa do tytułu jaki nosi, do milionów które trwoni. Nigdy jeszcze najsilniejszy nawet umysł, najgłębszy myśliciel nie błąkał się w takim labiryncie nierozwikłanych myśli.

„Opowiedz mi pani wszystko...“ oto pierwsze słowa jakie mógł wymówić.

Odetchnęła ciężko przysposabiając się do zadośćuczynienia temu żądaniu. Wszak spełniła już co było najcięższego... gorycz tego zadania równała się prawie goryczy śmierci, a coś dopiero gdyby wyznanie to trzeba było uczynić komukolwiek innemu... Tajemnica ta dręczyła ją tak długo i jakby kamieniem ciążyła na sumieniu, iż nareszcie wyjawiając ją czuła jakąś niewysłowioną ulgę.

„Nie wiele już mam dodać do tego co ci powiedziałam, odrzekła. Jakże to straszne dramaty życia często w kilku słowach opowiedzieć się dadzą!... W dzień śmierci lorda Dynely... dziś właśnie skończyło się lat szesnaście od owej chwili... i dla tego wybrałam tę rocznicę, po raz pierwszy dowiedziałam się tego, i wszelkie okoliczności odnoszące się do tego wydarzenia do ostatniej życia chwili nie zatrać się w mojej pamięci.

„Właśnie przyjechał pożegnać się ze mną, kuzyn mój, Gordon Caryll, o którym słyszałeś zapewne, i opowiedział mi smutne dzieje swoje. Był to śliczny księżycowy wieczór; przechadzaliśmy się nad stawem trzymając się pod ręce i Gordon w krótkich, pełnych goryczy słowach, dał mi poznać dramat w którym tak smutną odegrał rolę. Widzę to wszystko dotąd jakby na obrazie. Błade światło księżyca, długie, czarne rysujące się na nim cienie, staw i czyste wód jego zwierciadło, czuję upajającą woń kwiatów i orzeźwiający wietrzyk wieczorny. Jakbym patrzyła na miejsce w którym Gordon pożegnał się ze mną; biedny, już go nigdy więcej nie widziałam. Pan Locksley bardzo mi go przypomina, to też tak lubię patrzeć na niego z powodu tego podobieństwa...

Zatrzymała się; straciła wątek opowiadania na wspomnienie o owym kuzynie którego kochała, i z którym dziś właśnie lat szesnaście temu, rozstała się na zawsze.

„Oddalił się, mówiła, a ja pozostałam myśląc o zawodach jakie życie wszystkim nam prawie gotuje, i zastanawiając się nad tem że najczęściej opuszczamy prostą drogę na której znaleźlibyśmy szczęście, a z której sprowadza nas miłość lub pycha albo duma. Gordon ożenił się z miłości... ja poszłam za mąż powodowana dumą i żądzą bogactw, i jednaki los czekał nas oboje: straszny, pełen niewysłowionej goryczy zawód. Nie kochałam wcale lorda Dynely, który był znacznie starszy ode mnie; nie należałam do dziewcząt romansowo-sentymentalnych, a całe uczucie na jakie serce moje zdobyć się mogło, zwróciłam do Gordona Caryll. Spełniałam wiernie wszelkie obowiązki moje jako żona, ale nigdy nie byłam szczęśliwą żoną.

(d. c. n)

Opis do N. 25.

(Dokończenie).

Rycina 38 przedstawia pończochę białą gładką z wyszytymi nad klinikami gałązkami jedwabiem pon-sowym, ryc. 40 pończochę czarną wyszytą z przodu pon-sowo, a na ryc. 42 widziemy pończochę jedwabną ćeru w pasy azurowe i gładkie, te ostatnie wyszyte jedwabiem niebieskim.



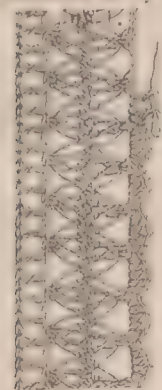
N. 43 Ubranie z tuniką i ze stanikiem z długą baskiną.

Na modelu suknia z cieniłego szafirowego kaszmiru, ubrana była szafirową materią. Stanik z bardzo długą baskiną, zapinany z boku, miał wypustki, kołnierz szalowy i część z przodu wstawioną z materii. Tunika miała brycik przedni bardzo wąski ubrany kokardami, 6 cent, dłuższe szerokie boczne kliny z jedwabnymi ranwersami, z tylnego brzegu przymarszczone i zeszyte z brytem tylnym w pukle podpiętym. Spód-nica ogarniowana falbaną układaną w plisowane fałdy, rozszerzoną do tyłu i naszytą jedwabnymi plisami.

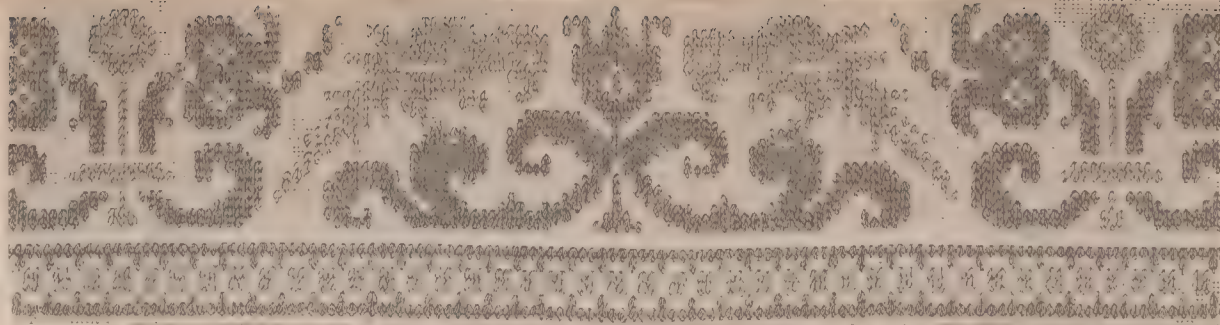
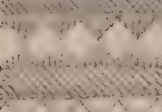
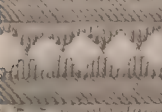
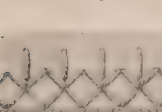
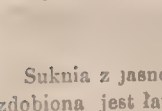
N. 44. Ubranie z szalową draperyą.

Suknia z jasno popielatego beżu ozdobiona jest łatwym haftem, robio-

N. 2. Wykonanie fałd szlaka do ryc.



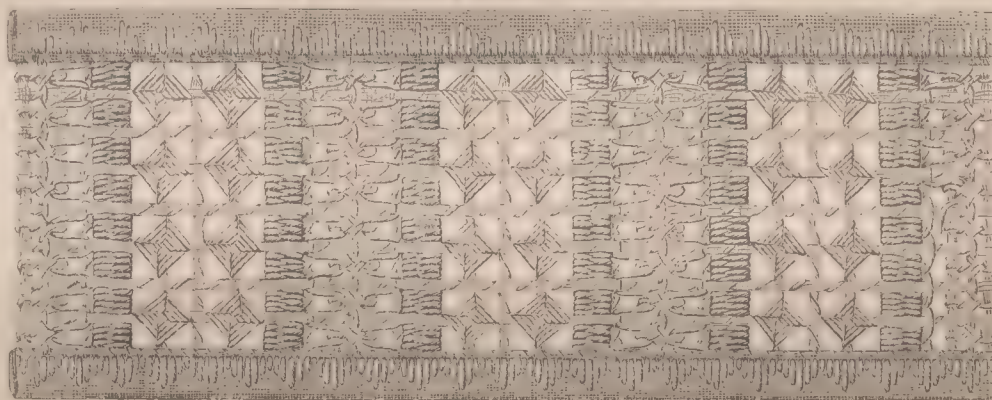
N. 4. Ząbki z torsadki na widełkach odrobionej szydełkiem.



N. 1 Szlak sefarski z fioletowym de fioletem i rzeźbami.



N. 5. Frenziła macramé, robota wiązana.

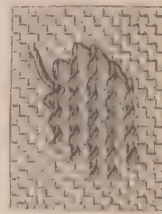


N. 7. Szlak z krutek azurowych wyciągniętych w płótnie.

nym ciemniejszym jedwabiem; szlaczek 5 centym. szeroki przystębnowany jest na staniku z długą baskiną. Przód i boczne kliny z draperyą ułożoną z bryta 94 centym. szerokiego, w górze 75 u dołu 92 długiego, ufałdowanego w sposób wskazany na ryc. 44, w górze ozdobionego haftem 23 cent. szerokim, u dołu

3 razy jedwabiem przystębnowanym. Takież szlaczki zdobiją prost. bryt tylny, upięty na spódnicy, oszytej marazoną, haftowaną falbaną 9 cent. szeroką i 13 cent. szeroką płaską wodą, ułożoną w kontra-fałdy, z przystębnowanymi nagłówkami.

N. 45 — 46 i 24. Sukienka z błukowym stanikiem dla małej dziewczynki.



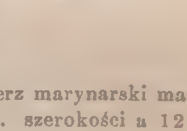
N. 3. Lewa strona wyszycia do r. 1.



Spódniczka mająca 36 cent. długości a 250 szerokości, z przodu założona jest w kontrafałdy, w górze 16, u dołu 22 cent. szeroką, w koło ufałdowana w głębokie fałdy schodzące się w tyle i

przyszyta do spodniego, gładkiego kartonowego stanika, na którym z przodu naszyte są kawałki zwierchnego materiału, zastępujące kamizelkę. Błuzka ma z tyłu 37, z przodu 34 cent. długości, a 9 centym. szerokości, kołnierz marynarski ma z tyłu 23 centym. szerokości a 12

N. 6. Torsadka wiązana do firanki rycina 17 w N. 25.



N. 8. Szlak wyszyty ściąganiem gobelinowym i luźnym.



N. 9. Suknia z długim stanikiem z materyału gładkiego i w pasy. Patrz ryc. 27 i 39.

N. 10. Suknia ozdobiona haftowanemi szlakami.

N. 11. Suknia z vètement, Patrz ryc. 29.

N. 12. Suknia z białego batystu, Patrz ryc. 28.

N. 9.—18. Ubrania letnie.
N. 13. Suknia z masy.

N. 14. Suknia z vètement.

N. 15. Suknia przybrana koronką.

N. 16. Ubranie dla małej dziewczynki.

N. 17. Suknia z czarnej grenadyny.

N. 18. Ubranie negliżowe. Rękaw patrz rycina 32 — 33.



Pl. 398.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.

